W NUMERZE: M. Bechczyc-Rudnicka – DWIE WYBITNE PREMIERY LUBELSKIE, K. Bielski – PSEUDO: „SERCE", J Blaim – WYCIECZKA DO STAMBUŁU, I. J. Kamiński – ŁAŻENIE PO STOLICY, M. Podgórski – DZIELNICOWY, K. Wiliński – LENIN O REWOLUCJI, T. Witkiewicz – WITKACY, Omówienie ankiety – DIALOG Z CZYTELNIKIEM

CENA 2 ZŁ

LUBLIN BIAŁYSTOK KIELCE RZESZÓW

Kamena

LUBLIN 12.X.1969. Nr 21 (428) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY Wychodzi od 1933 r.

Wojsko widziane ...nieodświętnie

Alojzy Sroga

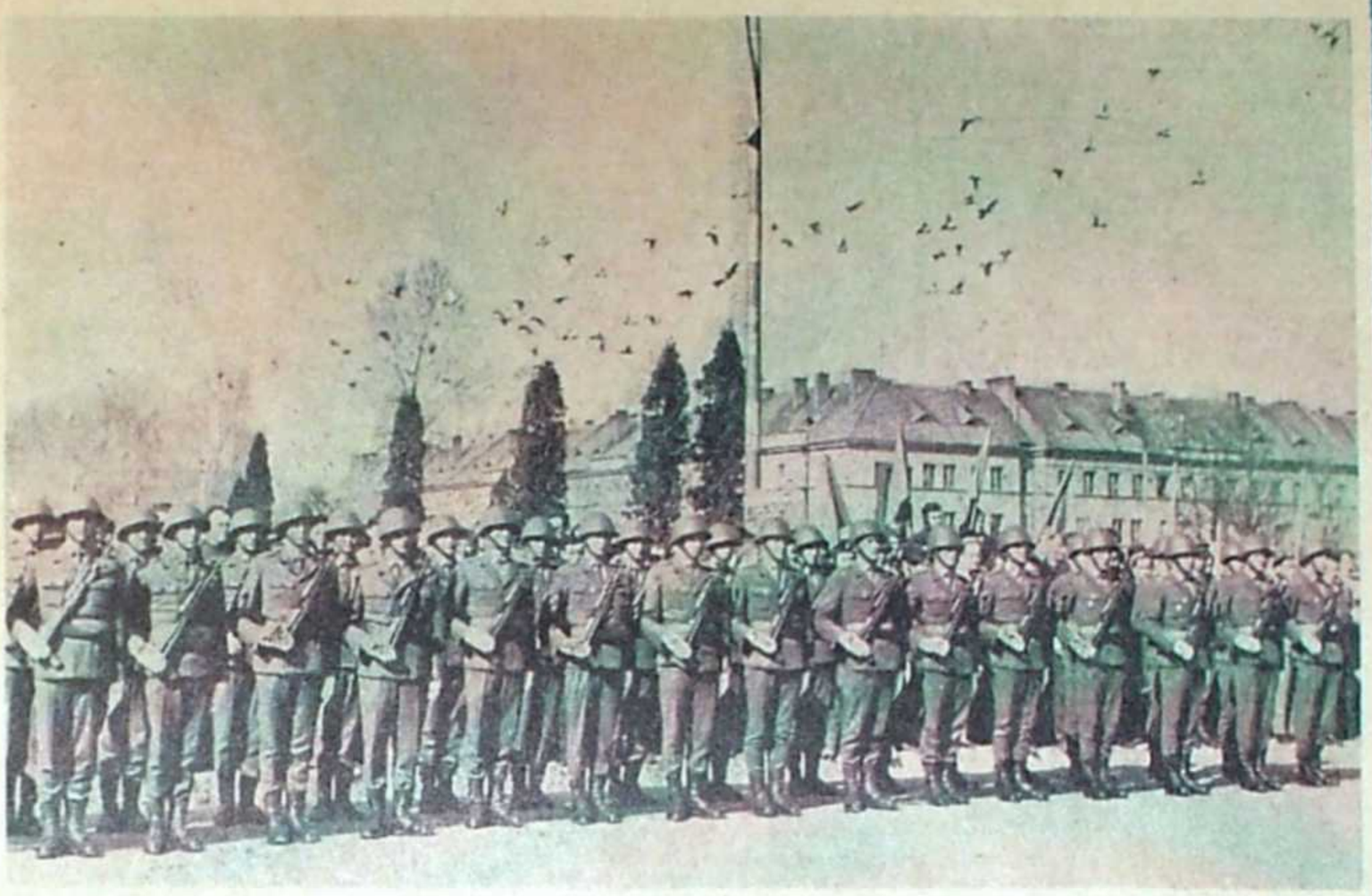

CAF — fot. J. Trembecki

ZADZWONIŁ telefon. Zirytowany podnosiłem słuchawkę. Właśnie wznosiliśmy toast za dawny nasz żołnierski szlak i życiorys. Mój współtowarzysz jest dzisiaj świetnym rolnikiem we Wrocławskiem. Kiedyś — był żołnierzem 1 dywizji piechoty imienia Tadeusza Kościuszki. Walczył pod Lenino. Z tej racji odszukałem go i poznałem przed dwoma laty. Jak wielu — uznał mnie za swego. Bo jak i on — byłem żołnierzem.

Niezbadane, niewytłumaczalne wprost są owe frontowe przyjaźnie, więzi, ów stempelek — „był żołnierzem". Inaczej od razu rozmawia się, sięga w głąb serca i duszy, można mówić o sprawach najbardziej trudnych i intymnych. „Był żołnierzem". To nasz znak rozpoznawczy.

I wtedy właśnie zadzwonił telefon. Naczelny redaktor „Kameny" proponował, by napisać o Wojsku Polskim. Ale:

żeby nie brakło informacji dla ludzi młodych i by także zachować klimat tamtych dni. By pisanie sięgało do trzewia obrastających tłuszczem mieszczan i by uczyło młodych chłopców, czym było wojsko tamtych dni sprzed ćwierćwiecza. A wszystko — krótkie, zwarte i czytelne.

— Jakżeś taki mądry — to pisz sam — warknąłem w słuchawkę.

Ostatecznie jednak — wiedząc, że napotkam co najmniej tuzin raf — zgodziłem się. Proszę więc wybaczyć, jeśli pewne tematy ledwie naszkicuję, zarysuję.

Pomyłki

Tropię je, tępię owe pomyłki i bzdury na każdym kroku, ale doskonale wiem, że przerasta to siły nie jednostki, a setek ludzi.

— Czytam: „armia kościuszkowska". Jako żywo — nie było takiej.

Natomiast w 1 Armii Polskiej w ZSRR były: 1 dywizja piechoty im. Tadeusza Kościuszki, 2 dywizja piechoty im. Henryka Dąbrowskiego, 3 dywizja piechoty im. Romualda Traugutta; 4 dywizja piechoty im. Jana Kilińskiego.

Ponadto — 1 brygada pancerna im. Bohaterów Westerplatte, brygada artylerii ciężkiej im. gen. Bema, pułk lotnictwa myśliwskiego „Warszawa", batalion kobiecy im. Emilii Plater i inne liczne jednostki wsparcia, np. artyleryjskie i zabezpieczenia — łączności, saperów itp.

Potem, po lipcu 1944 roku, kiedy nastąpiło połączenie 1 Armii Polskiej z Armią Ludową w Wojsko Polskie, gdy utworzono dwie armie jako tak zwane związki operacyjne, w skład 1 Armii Wojska Polskiego weszła jeszcze ponadto 6 dywizja piechoty (bez patrona) i pewne jednostki artyleryjskie, lotnicze, itp.

I jeszcze porównanie: w bitwie pod Lenino, która rozpoczęła żołnierską drogę ku Warszawie, Bałtykowi i Berlinowi, 1 dywizja im. T. Kościuszki liczyła (zaokrąglając) 11,5 tysiąca ludzi, zaś 1 pułk czołgów, współdziałający z dywizją — nieco ponad 500 ludzi. Łącznie — przeszło 12 tysięcy żołnierzy.

Natomiast 1 Armia Wojska Polskiego w szczytowym okresie swego rozwoju liczyła 97 tysięcy żołnierzy. Nieco mniej — 2 Armia, dowodzona przez Generała Świerczewskiego i walcząca w kwietniu — maju 1945 nad Nysą, o Budziszyn, Drezno i Pragę. Z jednostkami tylowymi Wojsko Polskie na wschodzie, w maju 1945, osiągnęło bez mała liczbę 400 tysięcy żołnierzy.

Dokończenie na str. 4

Ankieta „Kameny"

Dialog z czytelnikiem

RESPONDENCI — słowo raczej brzydkie i obce w dodatku. Nie żeby nieprzyzwoite — tylko jakieś dziwne. Ale dobrze oddaje tzw. istotę rzeczy. A więc respondentów jest 93. Tyle osób odpowiedziało na ankietę, którą „Kamena" ogłosiła w połowie roku i którą teraz przyszło zbilansować. *Nie wierzę w skuteczność ankiety! Redakcja bez tego powinna mieć rozeznanie jak redagować: żywo, ciekawie — aby ludzie kupowali. Niemniej dziękuję!* — pisze jedna z czytelniczek. My również dziękujemy — wszystkim respondentom zresztą. A w pewną instruktywność tego rodzaju ankiet nadal pozwalamy sobie wierzyć.

93 odpowiedzi. Mało to czy dużo? Wobec przeciętnie 8 tysięcy nakładu pisma liczba wygląda na dość skromną — około 1,16 proc. Ale ten odsetek jest, zdaje się, typowy. Na podobną ankietę „Polityki" przyszło wprawdzie aż 2199 odpowiedzi, co jednak przy nakładzie 200 tysięcy (tak!) daje tylko około 1,09 proc. Różnica niezbyt pokaźna i minimalnie na korzyść naszego pisma, aczkolwiek niweluje ją fakt, iż w przypadku „Polityki" idzie o cyfry duże, a więc próbka stołecznego tygodnika zdaje się być bardziej reprezentatywna niż nasza. Tak przynajmniej mówi wiedza statystyczna, jaką z racji tego bilansu musieliśmy nieco zagłębić.

Dysponujemy zatem ilością wypełnionych ankiet, która nie dozwala bawić się w statystyków, na co mieliśmy wielką ochotę. Trochę wszelako cyfr trzeba będzie podać, aczkolwiek wobec „domowego" sposobu opracowania ankiety mogą się tu zdarzyć małe omyłki czy podziały w pewnym stopniu umowne (np. kwestia: zawód wyuczony a wykonywany). Zakładając więc pewną hipotetyczność wniosków, stwierdzamy ogólnie, iż otrzymany materiał pod wieloma względami wydaje się ciekawy, a pod paroma — nawet zaskakujący.

Podstawowe pytanie — kim jest nasz czytelnik? Instruktywne wydaje się tu rozpoznanie wieku i wykształcenia respondentów oraz ich statusu zawodowego (terminy: „chłop", „robotnik" i inne będą tu oznaczały tylko rodzaj i charakter wykonywanej pracy).

Wiek: 26—40 lat — 34,4 proc. (32 respondentów), 18—25 lat — 31,2 proc. (29), powyżej 40 lat — 28 proc. (26), poniżej 18 lat — 6,4 proc. (6).

Wykształcenie: wyższe (22 respondentów) i niepełne wyższe (11) — w sumie 35,5 proc. (razem 33 respondentów), średnie — 34,4 proc. (32), uczniowie klas starszych — 14 proc. (13), podstawowe lub zasadnicze zawodowe — 8,6 proc. (8), studenci — 7,5 proc. (7).

Zawód: nauczyciel — 21,5 proc. (20 respondentów), urzędnik — 15 proc. (14), uczeń klas starszych — 14 proc. (13), pion inżynieryjno-techniczny — 12 proc. (11), student — 7,5 proc. (7), robotnik — 7,5 proc. (7), chłop — 5,4, (5), nie pracujący — 2,1 proc. (2), inny — 15 proc. (14 respondentów, wśród nich: 4 pracowników naukowych, 3 prawników oraz 7 specjalności prezentowanych tylko jedną odpowiedzią, m. in. lekarz-dentysta, pielęgniarka, agronom...)

W sumie — pracowników tak czy inaczej umysłowych 63,5 proc. (59), uczącej się młodzieży 21,5 proc. (20), pracowników fizycznych 12,9 (12) i nie pracujących zawodowo 2,1 proc. (2).

W tym wszystkim 26,9 proc. kobiet (25), 72 proc. mężczyzn (67) oraz jedna osoba (dla ścisłości — 1,1 proc.) istniejąca na zasadzie: *to nieistotne*, wobec czego pozostajemy bezradni.

Uff! Tyle — na razie, niestety — podziałów i cyfr koniecznych. Tak przedstawia się nasz „aktyw czytelniczy". Głównie zatem czytają nas ludzie posiadający przynajmniej wykształcenie średnie lub więcej niż średnie (ogółem 77,4 proc.), co jest zrozumiałe. Stanowimy przeto — w społecznym odbiorze — pismo dla inteligencji jak najszerzej pojętej (niezależnie od wykonywanych zawodów). Równomierny rozkład ilościowy osób z wykształceniem więcej niż średnim i średnim oraz spory odsetek z niższym od średniego może korzystnie świadczyć o publicystycznej dostępności zamieszczanych materiałów, albo też o odpowiedniej proporcji między „lżejszą" a „cięższą" problematyką w piśmie. 40 lat życia nie przekroczyło 72 proc. respondentów. Są to więc ludzie w pełni tzw. wieku produkcyjnego (26—40 lat), albo całkiem młodzi (18—25 lat). Pomiędzy tymi oboma grupami — znów stosunek równomierny. Spory też odsetek osób powyżej przysłowiowej „czterdziestki". Ale przeważa czytelnik młody, dynamiczny.

Dla dalszych specyfikacji potrzeba kilku cyfr. Spośród respondentów 78 osób podało, że czytają „Kamenę" stale, 13 — nieregularnie, 1 — rzadko, 1 — brak odpowiedzi. Staż czytelniczy: 1—5 lat — 49 osób, 6—20 lat — 26, poniżej 1 roku — 9, powyżej 20 lat — 5 (w tym 4 osoby czytające od pierwszego numeru w 1933 r.), 4 — brak odpowiedzi. Nawet jeśli się weźmie pod uwagę, że na ankietę odpowiadają zazwyczaj wypróbowani zwolennicy pisma oraz że miewa tu znaczenie kurtuazja respondentów, to i tak cyfra stałych czytelników wydaje się wysoka (83,9 proc., pozostałe 16,1 proc. nie sięga nawet granicy dopuszczalnych zwrotów pisma). Jak by nie było, trudno nam w tej sytuacji narzekać na brak stabilności „Kameny", przynajmniej w recepcji czytelniczej. Tym bardziej, iż — rzecz wielce znamienna i ciekawa — przeszło połowę respondentów stanowią osoby o stażu czytelniczym: 1—5 lat. Jest to odbiorca pozyskany od momentu, gdy „Kamena" przeszła poważną reorganizację, odbiorca przyzwyczajony i, być może, przywiązany do takiej postaci pisma, jaka się ukształtowała w okresie ostatnich pięciu lat. Słowem — najbardziej „nasz" czytelnik.

Mamy zatem czytelnika-inteligenta (w szerokim rozumieniu),

Dokończenie na str. 5

Londyńskie spotkania

W krainie hippiesów

Mirosław Derecki

GDYBYM się tego dnia nie wybrał na Picadilly Circus, żeby obejrzeć koczujących tam hippiesów, nie nastąpiłby szereg zdarzeń, w których wyniku poznałem Dzidzia.

A było to tak: wyszedłem po zaśmieconych schodach metra na powierzchnię Londynu, na ten plac, co go nazywają najbardziej ruchliwym miejscem Europy — a wieczór to już był chmurny, parny, londyński — i od razu szum, gwar, zgiełk. Sznur samochodów sunie z piskiem opon, kadillaki i rollsrojsy różne — po dziesięć i więcej tysięcy funtów szterlingów za sztukę, choć i nie raz i nie dwa, o dziwo, gruchot się stary pomiędzy nimi zaplącze, co do ogólnego dobrobytu jakoś się nie chce dopasować. Ale to nic: już dla mnie inna atrakcja została przyszykowana — zmysł wzroku mi atakują: jarzą się wystawy magazynu mody „Swan and Edgar" na rogu Regent Street i Picadilly, gdzie panie wytworne ciała swoje w bardzo eleganckie ciuchy mogą oblec, a żeby mnie jeszcze bardziej pognębić, trzy kina i jeden teatr za pomocą ogromnych afiszów zapraszają do wnętrza. I ja mógłbym na przykład obejrzeć i zachwycić się niepomiernie historią ubogiej, ale wesołej włoskiej dziewczyny, co ją z nudnej prowincji wyciągnie bogaty współczesny królewicz w filmie „Cinderella, Italian style", czyli — „Kopciuszek po włosku", z Sophią Loren i Omarem Sharifem w rolach głównych, albo, jeśli raczej erotycznych doznań wizualnych pragnę, „Classic" ofiaruje mi „Candy", opowieść o dziwnej, pięknej dziewczynie, która nikomu nie potrafiła odmówić, bo taka już rewolucyjna, bez zasad ona była i nawet w samolocie transkontynentalnym jej się to przydarzyło z pilotem, a żebym nie myślał, że ktoś tu wstawia lipę i chce za darmo dwanaście i pół szylinga z kieszeni wyciągnąć, to prezentuje się przecież nad wejściem do kina ogromne kolorowe zdjęcie, jak ta Candy leży na golasa w kabinie pilotów, na tle zegarów i różnych dźwigni, co dodaje odpowiedniego smaczku. Ale może ja mam zainteresowania polityczne i nie chcę sexu ani mdłych sentymentów? To też się coś znajdzie: zaraz niedaleko grają amerykański film „The Most Dangerous Man in the World", a w nim Gregory Peck, „najniebezpieczniejszy człowiek świata" mierzy się oko w oko z Mao Tse-tunglem w dniach rewolucji kulturalnej, i gdyby nie wielka mądrość i przezorność zjednoczonych wywiadów amerykańskiego i angielskiego, to Mao mógłby zginąć marnie, bo Gregory ma wmontowaną za uchem bombę, która wybuchnie na odpowiedni sygnał radiowy, ale bomba nie wybuchnie, bo wywiad czuwa, czuwa nad utrzymaniem pokoju na świecie.

I rzecz dziwna — nic a nic mnie to wszystko nie interesuje, tylko imperatyw wewnętrzny pcha mnie przemożnie na sam środek Picadilly Circus, pod fontannę, pod figurkę Erosa, gdzie na granitowych stopniach wodnego zbiornika, albo po prostu na chodniku, koczują setki chłopaków i dziewczyn brudnych, obdartych, malowniczych, z włosami do pasa. Zjeżdżają tutaj z całego świata, a najwięcej Skandynawów i Amerykanów. W dzień włóczą się po Londynie, trochę spotka się ich na Portobello, część na wystawach nowoczesnego malarstwa. Inni imają się sezonowych, marnych zajęć, jak zmywanie talerzy w podrzędnych garkuchniach, jeszcze inni stoją z gitarami w przejściach metra, grają, śpiewają, ich dziewczyny, drobne, chude, wynędzniałe, pląsają obok, podbiegają do przechodniów, wyciągają w ich stronę stare, zniszczone kapelusze z prośbą o groszowy datek. Wieczorem „wolni i niezależni", „zbuntowani i nieprzystosowani" ściągają na Picadilly Circus, rozkładają śpiwory, nadmuchują materace turystyczne, siadają grupami, brzdąkają w struny gitar, dmą w piszczałki, niektórzy zaciągają się w milczeniu łyczkami narkotykowego dymu, tkwią tak coraz senniejsi, coraz bardziej zmęczeni, nafaszerowani wyrywkowymi wiadomościami o hinduizmie, maoizmie, faszyzmie i nowoczesnej seksuologii, tkwią tak w „najruchliwszym punkcie Europy", opasani ruchliwym pierścieniem

Dokończenie na str. 6

teatrnn.pl

Kultura 1969

Literatura

● Na Litwie uroczyście obchodzono 100-lecie urodzin Juliusza Słowackiego. Ukazujący się w Wilnie w języku polskim organ KC Komunistycznej Partii Litwy — „Czerwony Sztandar" — poświęcił rocznicy specjalną kolumnę, na której obok obszernego eseju W. Witta znalazł się m. in. ilustrowany reportaż, którego autor prowadzi czytelników do miejsc w Wilnie, upamiętnionych pobytem poety oraz jego rodziny i przyjaciół młodości. Pismo opublikowało również elegię J. Słowackiego „Testament mój".

● „To, co łączy artystów bez względu na ustrój i klimat, to prąd egzystencjalistyczny. Widzę w Polsce sporo pisarzy głęboko przejętych egzystencjalizmem; to samo widzi się we Francji i w Anglii. Jest to postawa psychiczna, która każe koncentrować się na teraźniejszości, na możliwie najpełniejszym przeżyciu życia; akcent jest słabszy na esencji, mocniejszy na „egzystencji" z uwzględnieniem jej wszystkich wybujałości psychicznych" — powiedziała Maria Kuncewiczowa w obszernym wielowątkowym wywiadzie dla PAP, zakończonym bardzo osobistym wyznaniem: „pozostałam polską pisarką".

● W Związku Radzieckim, a także — pod auspicjami UNESCO — w licznych krajach świata obchodzono we wrześniu 200 rocznicę urodzin Iwana Kotlarewskiego (1769—1838), twórcy ukraińskiej literatury narodowej, który pierwszy zerwał z wielosetletnią tradycją posługiwania się w literaturze językiem cerkiewno-słowiańskim. Głównym jego dziełem jest żartobliwa trawestacja „Eneidy" Wergiliusza, osadzona w ukraińskim tle obyczajowym pierwszej połowy XVIII w.

● Nakładem francuskiego wydawnictwa „Larousse" ukazał się liczący 255 stron „Słownik Balzaka", zawierający wyczerpujące i wszechstronne informacje o życiu i twórczości autora „Komedii ludzkiej". „Słownik" uzupełniają liczne rysunki i grawiury, a także trzy mapy, m. in. balzakowskiego Paryża z zaznaczeniem miejsc, w których mieszkali główni bohaterowie utworów i on sam.

Sztuka

● W związku z wystawą fresków z Faras w Villa Heugel w Essen, odbyło się tam Międzynarodowe Sympozjum Naukowe, w którym wzięło udział 25 najwybitniejszych badaczy kultury nubijskiej. Prezesem wybranego komitetu, którego zadaniem będzie koordynowanie studiów nad kulturą i sztuką Nubii Egipskiej i Sudańskiej, został prof. dr Kazimierz Michałowski. Uczeni stwierdzili, że Warszawa powinna stanowić centrum studiów nubijskich oraz międzynarodowej dokumentacji zabytków, co uzasadniają znakomite polskie zbiory nubijskich zabytków sztuki.

● Specjalna komisja Towarzystwa Muzealnego w USA wystosowała do Kongresu raport, z którego wynika, że budynki i pomieszczenia największych placówek muzealnych w Stanach Zjednoczonych od dawna wymagają remontu, brak jest personelu, zaś wynagrodzenie pracowników kształtuje się na minimalnym poziomie. Na domiar złego interesujące prace naukowe z dziedzin muzealnictwa nie mogą znaleźć wydawców. A tymczasem rośnie liczba zwiedzających muzea — 6 tysięcy placówek odwiedza rocznie ponad 200 mln osób! — co przede wszystkim oznacza wzrost... wydatków instytucji muzealnych. Więcej zwiedzających to również więcej pracowników naukowych, przewodników, strażników, to potrzeba wzbogacania zbiorów i kosztowna ich konserwacja.

● Wrzesień i październik to miesiące spotkań i dyskusji polskich krytyków oraz historyków sztuki. Poza sympozjum „Złotego Grona" w Zielonej Górze uwagę zwróciła sesja „Sztuki XX wieku", która zgromadziła w Słupsku najwybitniejszych znawców przedmiotu. Tytuł jednego z referatów brzmiał: „Czy istnieje historia sztuki XX wieku".

● Z okazji przypadającej w tym roku 125 rocznicy urodzin malarza rosyjskiego Ilji Riepina, „Litieraturnaja Gazieta" opublikowała artykuł W. Szlejewa. Autor pisze, że niektórzy uważają Riepina za emigranta, który opuścił Rosję po Rewolucji Październikowej. Trudno zgodzić się z tą tezą, bowiem przeczą jej fakty. Wprawdzie dom Riepina w Penatach — po wytyczeniu granicy między Rosją Radziecką a Finlandią — znalazł się po stronie fińskiej, ale artysta nigdy nie zerwał związków z ojczyzną, nie przyjął np. obywatelstwa fińskiego. Władze radzieckie zorganizowały za życia artysty szereg wystaw jego dzieł, m. in. wielkie ekspozycje w Galerii Trietiakowskiej i w Muzeum Rosyjskim. Do końca życia Riepin korespondował z przyjaciółmi w ZSRR i gościł u siebie wybitnych pisarzy i naukowców radzieckich.

Teatr

● Na progu nowego sezonu teatralnego w Polsce krytyka stwierdza optymistycznie: teatr nasz „będzie, niezawodnie, nadal teatrem myślącym i poszukującym — ambitnym. Inscenizatorów interesuje wizja teatralna podstawowych ludzkich problemów, kieruje nimi przeświadczenie, że tylko przez poezję teatru mogą one zaświecić nieznanym blaskiem. Tylko bowiem teatr jest tą retortą, w której ze znanych składników można otrzymać nieoczekiwane podnietY myślowe (np. „Nieboska Komedia" w reżyserii Hanuszkiewicza)".

● Dyrektor i kierownik artystyczny Teatru Klasycznego w Warszawie, Ireneusz Kanicki, będzie reżyserować w przyszłym roku na scenie Teatru Małego w Moskwie szekspirowski „Sen nocy letniej".

● Szukanie nowych dróg artystycznych prowadzi niektóre sceny zachodnie, reklamujące się przymiotnikami „nowoczesne", „awangardowe", w ponure zaułki psychicznych anomalii. W sztuce „The Concept" aktorami są młodzi narkomani przechodzący grupową terapię odwykową w teatrze Daotyp Village. W czasie przedstawienia „Ofiar obowiązku" Ionesco w Nowym Orleanie wykonawcy siłą wtłaczają widzom do gardła kawałki chleba. Jak ktoś już zauważył, „wariaci bawią się w ukrzyżowanie i nierzadko ma się do czynienia z delirium sadomasochistycznym".

Muzyka

● W przyszłym roku minie 200 lat od urodzin Ludwika van Beethovena. Rocznicowe uroczystości zainauguruje koncert pianisty Wilhelma Kampfa w rodzinnym mieście genialnego kompozytora — w Bonn.

● Blisko 400 muzyków i śpiewaków krajowych i zagranicznych znakomity repertuar obejmujący kilkaset najprzedniejszych i niejednokrotnie zupełnie dotąd nie znanych zabytków muzycznych jedenastu narodów, ponad 20 tys. słuchaczy, wśród nich goście z wielu krajów europejskich, z Ameryki i Japonii — oto „statystyka" zakończonego w Bydgoszczy II Festiwalu Muzyki Dawnej Krajów Europy Środkowej i Wschodniej, któremu towarzyszyła Międzynarodowa Sesja Muzykologiczna. Na Festiwalu wykonane były utwory od V do VIII w. Ta rozpiętość czasowa mocno zaskoczyła zachodnioeuropejskich obserwatorów, skłonnych dotąd umieszczać początki kultury muzycznej narodów wschodniej i środkowej Europy w... XIX wieku!

● 17 imprez — koncertów symfonicznych i kameralnych, spektakli baletowych oraz audycji muzyki eksperymentalnej — przyniósł XIII Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej „Warszawska Jesień", którego celem zasadniczym jest wszechstronna informacja o aktualnych wydarzeniach w dziedzinie muzyki współczesnej. Te aktualności niejednokrotnie szokowały publiczność, choć w mniejszym, jak się wydaje, stopniu, niż na poprzednich festiwalach. O wzrastającej randze „Warszawskiej Jesieni" świadczy fakt nadesłania przez grupę kompozytorów z Francji, ZSRR i Jugosławii utworów napisanych specjalnie w celu prawykonania w Warszawie.

Film

● Znany włoski reżyser Francesco Rosi („Ręce nad miastem") nakręci w koprodukcji z Jugosławią film „Wojna wojnie". Rosi zamierzał zrealizować filmową biografię Che — Guevary, musiał jednak od tego projektu odstąpić i obecnie bierze na warsztat okres I wojny światowej. „Chciałbym — powiedział — aby film nawiązał do najlepszych tradycji Remarque'a, Jeana Renoira i Kubricka".

● „Przygody Sindbada Żeglarza" — to tytuł realizowanego w studium małych form filmowych „Semafor" w Łodzi nowego serialu telewizyjnego, którego reżyserem jest Katarzyna Latallo. Scenariusz filmu powstał na tle utworu Bolesława Leśmiana pod tym samym tytułem. Pomysł zaczerpnięty został z arabskiego zbioru fantastycznych historii i anegdot „Tysiąc i jedna noc".

● Wkrótce wejdzie na ekrany „Lekcja historii", poświęcona Michałowi Drzymale. Twórcy dokumentalnego filmu wykorzystali niemal wszystkie dostępne materiały archiwalne, nakręcono też sceny z życia wnuków Michała Drzymały w Drzymałowie (dawne Podgrodowice), w Powodowie i Grabowie w pow. wyrzyskim, gdzie gospodaruje jeden żyjący jeszcze syn Michała — Marcin Drzymała.

● „La Femme en question", pierwszy izraelski film długometrażowy J. Mory — Katmowa nie ma przychylnej recenzji w prasie francuskiej. Według recenzenta Ivonne Baby, widza aż szokuje „zalew erotyzmu", realistycznie ujęte sceny przesyca brutalność i seks, które według autora filmu mają reprezentować obsesje zużytej i zblazowanej społeczności. Baby stwierdza, że film jest wysoce niebezpieczny społecznie, podsuwając wygodne alibi dla wszystkich niezdrowych upodobań i zboczeń.

Kamena str. 2

Notes „Kameny"

Jerzy Dostatni

Przeciw ludobójstwu

JEST nas w Polsce trzysta tysięcy. Najmłodsi, którzy mogli chwycić za broń dopiero w ostatnim czy przedostatnim roku wojny, są dzisiaj u szczytu swoich możliwości. Poważna większość to ludzie, którzy minęli już zenit swego życia. Nie brakuje emerytów i inwalidów. Chociaż organizacyjnie w ostatnich latach szeregi członków Związku Bojowników o Wolność i Demokrację poważnie wzrosły — to przecież coraz mniej jest ludzi, którzy w latach pogardy walczyli z bronią w ręku, którzy przeżyli obozy koncentracyjne, więzienia czy obozy jenieckie. Coraz mniej jest tych, którzy jeszcze wcześniej na różnych frontach świata walczyli o wolność swoją i cudzą.

A jednak mimo nieubłaganych praw biologicznych głos zbowidowców rozlega się coraz głośniej w naszym kraju. Ale przecież nie na sile brzmienia polega jego znaczenie. IV Krajowy Kongres ZBoWiD był tego wymownym przykładem.

Pozornie jest to organizacja ludzi o bardzo różnym wieku i bardzo różnych drogach życiowych. Są więc jeszcze ci, którzy brali udział w rewolucji 1905 roku, są uczestnicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej i rewolucyjnych zmagań w kraju w latach 1917—1918. Obok weteranów trzech Powstań Śląskich, weterani Powstania Wielkopolskiego. Są współuczestnicy walki narodu hiszpańskiego o demokrację i prawdziwą wolność. Są wreszcie — i tych jest najwięcej — uczestnicy walk z hitleryzmem. A także ci, którzy potem, już w wolnej ojczyźnie, jeszcze toczyli krwawe walki z reakcyjnym podziemiem, hojnie wspomaganym przez zagranicznych dysponentów i aspirantów do objęcia rządu dusz nad umęczonym krajem, który nadal miał służyć wąskiej grupie posiadaczy i karierowiczów krajowego i cudzoziemskiego autoramentu.

Od pierwszych strzałów na Westerplatte do ostatnich na ulicach Berlina minęło ponad 2 tysiące dni i nocy. Zimny statystyk może wyliczyć, że każdego dnia przeciętnie ginęły trzy tysiące Polaków, drugie trzy tysiące każdej nocy. Krew nasza, naszych braci i sióstr, lała się najdosłowniej na wszystkich frontach drugiej wojny światowej. Najwięcej, oczywiście, w kraju — w codziennej walce z okupantem, w obozach i więzieniach, w miastach i na wsiach, w domach i na ulicach. Ale także pod Lenino, Chełmem, Lublinem, Kołobrzegiem, nad Wisłą i nad Odrą, w Warszawie i w Berlinie, pod Narwikiem i Tobrukiem, na stokach Monte Cassino i pod niebem Anglii, w partyzantce francuskiej, jugosłowiańskiej, czeskiej.

Trudna i długa była droga do wolnej, socjalistycznej Polski. I różnie kształtowały się przekonania, różne były rodowody formacji wojskowych czy partyzanckich, różne były wizje kraju, o które walczyliśmy z takim uporem, z takimi ofiarami, z taką nadzieją.

ZBoWiD początkowo nie był organizacją jednolitą. Ścierały się różne nurty, byli i tacy, którzy usuwali się w cień mimo niewątpliwych zasług krwi i najlepszej woli w przeszłości.

Dzisiaj, a właściwie już od kilku lat, możemy powiedzieć z dumą, że nasza zbowidowska organizacja jest organizacją jednolitą. Zatarły się dawne różnice organizacyjne, znikły różnice ideologiczne. Wszyscy są równoprawnymi członkami.

Ale nie tylko to. Nie chodzi bowiem o równość formalną. Ta rzeczywista bowiem wyrosła nie z nakazów, nie z formalnej treści statutu, ale z praktyki dnia codziennego. A tę praktykę wyznaczało i wyznacza doświadczenie każdego dnia. Doświadczenie zaś każdego dnia wykazuje, że nie tylko dawno wyleczyliśmy rany wojny, ale że budujemy Polskę silną politycznie i gospodarczo, o nie spotykanym w naszych dziejach rozwoju oświaty i kultury. Niełatwą tu przebyliśmy drogę i niełatwe jeszcze czekają nas na niej zadania. Ale siły dodaje nam świadomość pełnej integracji naszych szeregów, integracji, która mogła wyrosnąć tylko na gruncie wspólnego programu, opracowanego i realizowanego przez PZPR, a przyjętego za własny przez wszystkie stronnictwa i organizacje, skupione we Froncie Jedności Narodu.

Wczoraj w walce, dziś w pracy — pod tym hasłem toczyły się obrady IV Krajowego Kongresu ZBoWiD. Podkreślały to wszystkie wypowiedzi na Kongresie, a podsumował list do Władysława Gomułki, stwierdzający m. in.:

... póki nam starczy sił, do ostatniego tchu będziemy pracowali nad umocnieniem socjalizmu, rozbudową siły i podniesieniem międzynarodowego znaczenia Polski Ludowej. Drogowskazem dla nas pozostanie zawsze linia polityczna Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, przewodniczki narodu w budowie socjalistycznej Ojczyzny.

I dlatego w swoim referacie sprawozdawczo-programowym były i obecny prezes Zarządu Głównego Mieczysław Moczar mógł stwierdzić:

Zbowidowcy czerpali siłę i energię do działania w minionej kadencji ze społecznej idei socjalizmu, która — choć swego czasu nie dla wszystkich dzisiejszych członków ZBoWiD była wspólna — dziś już przez wszystkich nas, żołnierzy tamtych czasów, uznana została za własną. Za własną uznana została mocą swej historycznej słuszności, mocą polityczno-społecznych, materialnych i moralnych przeobrażeń, jakie dźwignęły Polskę z ruin, nędzy i zacofania.

Następnego dnia po zakończeniu Kongresu odbyło się na Majdanku uroczyste odsłonięcie pomnika ofiar faszyzmu, połączone z wielką manifestacją antywojenną. Wśród stutysięcznego tłumu obecni byli prawie wszyscy delegaci na Kongres. Otwierając uroczystość, więzień obozu majdankowskiego nr 8759, prezes Zarządu Głównego Towarzystwa Opieki nad Majdankiem i członek Zarządu Głównego ZBoWiD — Paweł Dąbek powiedział:

Zwróćcie wzrok tam, na to wzgórze, z którego wyrasta komin krematorium — symbol losu, jaki nam, Polakom i innym ujarzmionym narodom, szykowały zbrodnicze plany, zrodzone w umysłach przywódców faszyzmu. Spójrzcie na dachy baraków, pod którymi dopalały się ostatnie iskierki życia naszych sióstr i braci, synów i córek, żon i mężów. Ludzki popiół na polach za drutami, gazowe komory i nad tym wszystkim przerażający zwiastun śmierci — krematoryjny dym. Oto Majdanek...

Zwyczajem przyjętym jako moralny i patriotyczny obowiązek żywych wobec poległych — stajemy na przedpolu Majdanka obok budowli, której nie nadkruszą burze i wiatry, ani czas. Stoimy u stóp pomnika, którego skalne i betonowe bloki są jak nasza pamięć — wieczne i niezłomne. Lata przeminą, a ten pomnik ma stać i wołać — oto skutki wojny! Ma stać i ostrzegać — nigdy więcej! Ma niemym wyrazem swojego ogromu, wstrząsającą wymową odłamów skalnych i ogniem zniczów przekazywać naszą i potomnych cześć i hołd tym, którym życie zabrano przemocą. Żywi i wolni — hołd dziś składamy ofiarom Majdanka.

Tuż przed odsłonięciem pomnika zabrał głos premier Józef Cyrankiewicz, prezes Rady Naczelnej ZBoWiD. Wspominając straszliwą historię tego największego w Europie — po Oświęcimiu — obozu koncentracyjnego, powiedział:

Przyszliśmy tu, aby pozdrowić serdecznie wszystkich byłych więźniów i więźniarki Majdanka, z którymi dziś obchodzimy ten dzień pamięci. Pozdrawiamy też mieszkańców Ziemi Lubelskiej i tych, którzy wbrew niebezpieczeństwu, jak mogli starali się pomagać więźniom obozów, i tych, którzy z bronią w ręku w lasach Lubelszczyzny dawali świadectwo woli niezłomnej walki narodu polskiego z hitlerowskim najazdem i okupacją. I tych — synów i córki tamtego pokolenia, którzy są budowniczymi dzisiejszego i jutrzejszego dnia Lubelszczyzny.

Przypominając niektóre zbrodnie hitlerowskie, jak Majdanek, Sobibór, Oświęcim, Oradour, Filletto, Zamojszczyznę, a następnie zwycięskie ciosy armii sprzymierzonych, a przede wszystkim Armii Radzieckiej, premier stwierdził:

Walcząc z hitlerowskim najazdem walczyliśmy nie tylko z militarną przemocą. Walczyliśmy równocześnie z jego ludobójczą i nihilistyczną ideologią, z jego dążeniem do strącenia ludzkości w otchłań barbarzyństwa, gdzie ludziom Herrenvolku dozwolone byłoby wszystko, a przedstawicielom innych narodów pisana byłaby zagłada lub niewolnicza praca. U podłoża tej morderczej filozofii leżał nacjonalizm, doprowadzony do patologicznych wymiarów, i rasizm. Rasizm i siła miały służyć uzasadnianiu praw narodu niemieckiego do panowania nad całą resztą ludzi innych narodowości. Do wydawania wyroków śmierci na całe grupy ludzkie, całe narody...

Ci, co przetrwali, wychodząc z obozów na wolność ślubowali, że już nigdy więcej! Nie jest to bierne zawołanie, ale hasło walki; w przekładzie na język politycznego realizmu to „nigdy więcej" oznacza, że w porę postawione muszą być skuteczne bariery agresji. My ze swojej strony czynimy wszystko, aby to hasło wcielać w życie. Zbudowaliśmy i budujemy silną, nowoczesną Polskę Ludową. Nie samotną, skłóconą z sąsiadami — jak było przed 39 rokiem — ale związaną ścisłym sojuszem ze Związkiem Radzieckim i innymi krajami socjalistycznymi, dającą swój wkład do wspólnej siły socjalistycznej wspólnoty.

Chcemy też, aby system zbiorowego bezpieczeństwa powstał na czas — zanim przyszłoby płacić takie koszty jak wtedy, przed trzema dziesiątkami lat, albo o wielekroć wyższe i okropniejsze. Dlatego właśnie państwa socjalistyczne konsekwentnie głoszą politykę pokojowego współistnienia, dlatego wzywają — jak ostatnio w Budapeszcie — do stworzenia ogólnoeuropejskiego systemu bezpieczeństwa zbiorowego.

O konieczności powstania takiego frontu u nas nikogo przekonywać nie trzeba. Niestety trzeba wielu ludzi w Europie zachodniej. Właśnie dzisiaj ogłoszono wyniki wyborów parlamentarnych w NRF. Neofaszystowska NPD wprawdzie nie uzyskała ani jednego mandatu, ale przecież podwoiła swój stan posiadania. I warto podkreślić, że zabrakło jej zaledwie 231 tys. głosów, 0,7 proc. głosujących. Kariera hitleryzmu sprzed 35—40 lat dowodzi, że przy następnych wyborach nowe pokolenie ludobójców w NRF może już zacząć współuczestniczyć w sprawowaniu władzy, a potem ją przejmować. I dlatego wciąż powtarzamy: nigdy więcej! I dlatego wzywamy do stworzenia ogólnoeuropejskiego systemu bezpieczeństwa.

od BIEBRZY po BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

✡ „Ruch" zawarł z białostockimi placówkami teatralnymi porozumienie, mające na celu upowszechnianie kultury teatralnej w wiejskich klubach. „Ruch" zobowiązał się udostępniać lokale na spotkania z aktorami, reżyserami, krytykami teatralnymi, recitale i pokazy sceniczne oraz finansować tego rodzaju imprezy.

✡ Aleksander Strunin, reżyser Teatru Dramatycznego w Grodnie, reżyseruje w Teatrze im. Al. Węgierki „Niespokojną starość" Leopolda Rachmanowa. W roli głównej wystąpi Henryk Dłużyński, scenografię projektuje Ryszard Kuryszyn. Do Grodna wyjedzie dyrektor teatru białostockiego, Bronisław Orlicz, aby na tamtejszej scenie reżyserować „Kuglarzy" Skowrońskiego.

✡ Biuro Wystaw Artystycznych zorganizowało w Białowieży wystawę popleneroową z V Ogólnopolskiego Pleneru Białowieskiego. Eksponowano 160 prac 39 autorów. W Klubie MPiK w Białymstoku można oglądać plon I Pleneru Augustowskiego — 29 prac malarskich 8 autorów.

KIELCE

✡ W PDK w Pińczowie otwarto Muzeum Ponidzia. Istnieją dwa działy — historii najnowszej ze szczególnym uwzględnieniem historii Pińczowa oraz dziejów ruchów wyzwoleńczych i walk z najeźdźcą hitlerowskim, i historii ogólnej. W dziale pierwszym duże zainteresowanie wzbudzają oryginalne zdjęcia z okresu walk o Partyzancką Republikę Pińczowską, sytuacyjne plany bitew, fotokopie meldunków itp.

✡ Teatr Lalki i Aktora „Kubuś" zamierza w bieżącym sezonie rozszerzyć swoją działalność na młodzież starszą i dorosłych. Wystawiono już „Baśń o pięknej Parysadzie" Leśmiana, w przygotowaniu są „Syzyfowe prace" Żeromskiego i poezja Norwida.

✡ W zabudowaniach poklasztornych w Chęcinach podczas przeprowadzania remontu odkryto dobrze zachowany strop modrzewiowy z wyrytą datą: 1637 r.

LUBLIN

✡ Kierownicy wydziałów kultury PWRN i placówek BWA z całej Polski w czasie trzydniowej sesji obradowali nad masowym upowszechnianiem sztuk plastycznych.

✡ Teatr im. J. Osterwy wystawił montaż piosenek partyzanckich, pt. „Dziś do ciebie przyjść nie mogę", opracowany przez Lecha Budreckiego i Ireneusza Kanickiego. Montaż przeznaczony jest głównie dla sceny objazdowej. Natomiast z myślą o młodych widzach teatr przygotowuje „W pustyni i w puszczy" Sienkiewicza w adaptacji Marii Billinżanki.

✡ W salach BWA otwarto pierwszą okręgową wystawę grafiki lubelskiej oraz, z okazji 40-lecia twórczości, indywidualną wystawę malarstwa Zenona Kononowicza, jednego z najwybitniejszych malarzy lubelskich.

✡ W klubie MPiK wystawiał rysunek i fotografię z walczącego Wietnamu Andrzej Strumiłło.

✡ Koło Towarzystwa Przyjaciół Książki i Ekslibrisu zorganizowało wieczór bibliofilski, poświęcony 50-leciu przynależności do Towarzystwa mecenasa Konrada Bielskiego, literata, członka Kolegium Redakcyjnego „Kameny", znakomitego znawcy książek.

RZESZÓW

✡ Na wojewódzkiej inauguracji roku kulturalno-oświatowego 1969/1970, rozwój kultury w woj. rzeszowskim w okresie 25-lecia PRL przedstawił sekretarz KW PZPR Stanisław Ryba. Kierownik Wydziału Kultury KC PZPR Wincenty Kraśko omówił aktualne zadania kulturalnego frontu na tle sytuacji politycznej kraju i świata.

✡ W salach „Miastoprojektu" dużym zainteresowaniem cieszy się, zorganizowana przez Wojewódzką Komendę Milicji Obywatelskiej i Muzeum Okręgowe w Rzeszowie, wystawa „Milicja Obywatelska i służba bezpieczeństwa województwa rzeszowskiego w 25-leciu PRL".

✡ Włączając się do bogatego programu obchodów 25-lecia PRL oraz ćwierćwiecza powstania województwa rzeszowskiego, wiele ciekawych wystaw, imprez, spotkań z dziennikarzami prasy centralnej i lokalnej zorganizował Klub Międzynarodowej Prasy i Książki w Przemyślu. Drugim miastem powiatowym, posiadającym tego rodzaju placówkę, jest obecnie Tarnobrzeg.

✡ W Sanoku odbyła się, zorganizowana przez Min. Kultury i Sztuki oraz sanockie Muzeum Budownictwa Ludowego, ogólnopolska konferencja, poświęcona muzeum na wolnym powietrzu.

✡ Staraniem Prezydium PRN w Brzozowie oraz Zarządu Brzozowskiego Towarzystwa Kultury, w Rzeszowie otwarto wystawę sztuki ludowej powiatu brzozowskiego oraz fotografiki, obrazującej jego osiągnięcia w 25-leciu PRL. Koncertowały znane kapele ludowe z pow. Brzozów. Zgodnie z planem, wszystkie powiaty Rzeszowszczyzny w taki właśnie sposób prezentować będą swój kulturowy dorobek w stolicy województwa.

✡ Wystawa pt. „Kontakty St. Wyspiańskiego z Bieczem i regionem gorlickim" ściągnęła do Gorlic na doroczne tradycyjne „Dni" mnóstwo zwiedzających.

Przed 100-leciem urodzin Włodzimierza Lenina

Lenin o rewolucji

Kazimierz Wiliński

LENINOWSKA koncepcja rewolucji socjalistycznej nie jest wyłącznie prostym przypomnieniem wcześniejszych prawd marksizmu, zawartych w pismach Marksa i Engelsa. Nie ogranicza się ona do powtarzania starych sformułowań marksizmu — chociaż i wtedy i teraz nie sposób negować potrzeby takich powtórek — lecz zawiera również wkład oryginalny. Tak więc Lenin nie tylko tworzy równocześnie nową problematykę, ale i istotnie rozwija tę, która u pierwszych klasyków marksizmu znajdowała się zaledwie w stadium zaczątkowym.

Przede wszystkim jednak to, co szczególnie charakterystyczne dla myśli leninowskiej, to jej najdalej jak można w teorii posunięta konkretność. Był bowiem Lenin nie tylko teoretykiem, lecz również praktykiem rewolucji. Marks i Engels znajdowali się raczej w sytuacji futurologów — jedynie doświadczenia Komuny czynią tu pewien wyłom. Jednak były to zarazem doświadczenia, które ze względu na swą fragmentaryczność (Komuna obejmowała, jak wiadomo, jedynie miasto Paryż) nie mogły mieć w pełni waloru powszechności. Walka paryskich komunardów miała zasięg tylko lokalny. Sporo w niej było także z teorii i praktyki anarchizmu. Ani Marks, ani Engels nie brali bezpośrednio udziału w powstaniu robotników paryskich, a nawet uważali jego wybuch za przedwczesny i dlatego pozbawiony w tamtej konkretnej sytuacji jakichkolwiek szans powodzenia. Lenin natomiast znajdował się w samym gąszczu wydarzeń rewolucyjnych — stał na ich czele. Zatem leninowskie uogólnienia teoretyczne mają genezę bezpośrednio praktyczną. Dotyczą one przy tym wielkiego kraju, z całą jego skomplikowaną strukturą społeczno-polityczną i narodowościową. Stąd ich znaczenie dla następnych rewolucji proletariatu było i jest nieprzemijające.

Niemniej o rewolucji pisał Lenin i przed rewolucją. Charakterystyczne, że tylko w niewielu przypadkach, i to nie najbardziej istotnych, praktyka wniosła do teorii znaczące poprawki. Można zatem traktować wszystkie rozważania Lenina, dotyczące naszego tematu, jako jedną, całościową i spójną teorię rewolucji socjalistycznej.

Jest to przy tym taka teoria, która wyrasta wprost z ducha (i litery) założeń samego Marksa. Nawet bowiem odwrócenie przez Lenina twierdzenia Marksa o konieczności dokonania rewolucji j e d n o c z e s n i e we wszystkich przodujących krajach kapitalistycznych ma swe teoretyczne źródło właśnie w „Kapitale". Została tam przecież udowodniona teza, iż w wyniku koncentracji produkcji kapitalizm wolnokonkurencyjny zmierza do swego zaprzeczenia, do monopolu. W czasach Lenina owo zaprzeczenie było już faktem dokonanym. I stąd właśnie Lenin mógł wypowiedzieć myśl przeciwną Marksowskiej: rewolucja nie może dokonać się jednocześnie we wszystkich krajach — zwycięży zrazu w jednym z nich. W którym? W Rosji najprawdopodobniej. Odpowiedź nie jest prosta; w niej właśnie geniusz Lenina ujawnił się w sposób najpełniejszy.

Zaczyna Lenin od analizy imperializmu, czyli kapitalizmu w stadium monopolistycznym. Z ekonomicznego punktu widzenia imperializm charakteryzuje panowanie oligarchii przemysłowo-finansowej. Zjawisko to jest naturalnym następstwem procesu, prowadzącego do skupiania coraz większych sił ekonomicznych w rękach coraz to mniejszej liczby właścicieli. Wielkie koncerny i monopole prowadzą jednolitą politykę gospodarczą nie tylko w ramach państw jako całości, lecz same są nierzadko organizmami ponadnarodowymi.

Inną charakterystyczną cechą imperializmu — wynika ona zresztą z poprzedniej — staje się zastąpienie eksportu towarów eksportem kapitału. Wywożony kapitał bywa przy tym lokowany najczęściej ze względu na zysk — przede wszystkim w krajach o stosunkowo taniej sile roboczej, a więc nie najbardziej rozwiniętych. Wobec tego w krajach tych następują raptowne skoki w rozwoju gospodarczym. Powodują one szybkie i radykalne nasilenie się sprzeczności między pracą a kapitałem. Do tych sprzeczności w kraju takim jak Rosja trzeba jeszcze dodać bogaty wachlarz sprzeczności innego rodzaju: narodowościowych, postfeudalnych i na poły feudalnych, z których najważniejszą stanowi nie rozwiązany problem chłopski.

Te ostatnie sprzeczności, będące następstwem nieprzeprowadzenia w danym kraju rewolucji burżuazyjno-demokratycznej, ujawniają się właśnie ze wzmożoną siłą dzięki pojawieniu się tych pierwszych, tj. specyficznych dla formacji kapitalistycznej. Wszystko to sprzyja nie tylko rozwojowi ruchu robotniczego, lecz także nastrojów i wystąpień rewolucyjnych w ogóle; także tych formułujących demokratyczne hasła właściwe rewolucjom burżuazyjnym. Jest zatem zadaniem partii proletariatu sprzeczności te wzmagać, co pozwoli jej w konsekwencji odgrywać rolę awangardy i hegemona ruchu rewolucyjnego jako całości. Ze względu na treść ostatecznych celów swojej klasy partia proletariatu jest niejako naturalnym przywódcą wszystkich niezadowolonych ze starego reżimu. Żeby jednak możliwość przekształcić w rzeczywistość, potrzebne są dodatkowe dane — lecz o tym za chwilę.

Bowiem przed tym trzeba jeszcze wziąć pod uwagę następną z obiektywnych przesłanek rewolucji socjalistycznej, zrodzoną przez imperializm. Chodzi o nierównomierne tempo rozwoju poszczególnych krajów i regionów w sytuacji, kiedy imperialistyczny podział świata (kolonie i strefy wpływów) został już zakończony. Stąd walka poszczególnych państw imperialistycznych i grup monopolów o nowy podział świata. Pojawiają się zatem obiektywne sprzeczności interesów wewnątrz świata kapitału. Kapitalizm nie działa już i nie występuje jako całość; przychodzi epoka wojen imperialistycznych. Obok tego nie bez znaczenia staje się podział państw imperialistycznych na bogate i ubogie, na „rentierów" i pracujące. Takie imperializmy, jak brytyjski i francuski (w tamtym czasie), żyją w dużej mierze z wyzysku kolonii i z procentów od pożyczek zagranicznych. Stwarza to możliwości udziału w podziale „łupu" również dla części klasy robotniczej. Kształtuje się tzw. „arystokracja robotnicza", będąca obiektywnie nosicielem wpływów ideologii burżuazyjnej i burżuazyjnego stylu życia. To obiektywne zjawisko nie jest bez znaczenia dla rozwoju i orientacji ruchu robotniczego. Implikuje ono nasilenie tendencji oportunistycznych i rewizjonistycznych. Widać tu bezpośredni związek i zależność czynnika subiektywnego od obiektywnego.

Jednak zarówno w tym przypadku jak i w poprzednim (rozwój nastrojów rewolucyjnych w państwach imperialistycznych niżej rozwiniętych) przesłanki obiektywne rodzą tylko m o ż l i w o ś ć. Potrzeba jeszcze świadomego działania. Wedle wyrażenia Lenina „żywiołowość masy wymaga od nas, socjaldemokratów, masy świadomości" („Co robić?" z 1901 roku)!

Świadomość do ruchu robotniczego (i nie tylko robotniczego!) wnoszona jest z zewnątrz. Przy tym od początku i we wszystkich krajach do wniesienia tej świadomości pretendują nie tylko marksiści, lecz i burżuazja. Jak w związku z tym przedstawia Lenin zadania i obowiązki partii proletariatu? Generalnie biorąc, w odróżnieniu od ideologii i praktycznej działalności partii socjaldemokratycznych II (Międzynarodówki), Lenin nie tylko chce u ś w i a d a m i a ć, czekając na automatyczny niejako efekt w postaci ż y w i o ł o w e g o ruchu i ż y w i o ł o w e j rewolucji dokonanej przez masy, lecz postuluje również, i przede wszystkim, o r g a n i z o w a n i e klasy robotniczej do rewolucji, organizowanie samej rewolucji. To bardzo istotny punkt w teorii i praktyce leninizmu.

W konkretnej sytuacji społeczno-politycznej, w warunkach istnienia zorganizowanego panowania burżuazji w postaci państwa nowoczesnego, o r g a n i z a c j i b u r ż u a z j i może się skutecznie przeciwstawić tylko jeszcze bardziej doskonała o r g a n i z a c j a p r o l e t a r i a t u w postaci p a r t i i nowego typu. Wykonanie gigantycznej pracy organizacyjnej jest warunkiem sine qua non powodzenia ruchu. W sytuacji rosyjskiej (nielegalność) należało rozpocząć od zbudowania „organizacji zawodowych rewolucjonistów". Organizacja ta winna praktycznie k i e r o w a ć ruchem szerokich rzesz proletariatu (i nie tylko proletariatu). W tym celu winna ona „wnosić" do tego żywiołowego procesu świadomość klasową w szerokim sensie. Bowiem bez spełnienia tego warunku sam żywiołowy ruch proletariatu doprowadzi nieuchronnie, zdaniem Lenina, do świadomości, form walki i organizacji typu trade-unionistycznego. Same obiektywne przesłanki ruchu nie prowadzą bynajmniej a u t o m a t y c z n i e do wykształcenia socjalistycznych form i treści (w rozumieniu marksizmu).

Wprawdzie i czynnik subiektywny (tj. tu: marksistowska świadomość i organizacja) ani nie rodzi się samoistnie, ani też nie może stać się „siłą materialną", opanowując masy bez ukształtowanych stosunków kapitalistycznej produkcji towarowej i kapitalistycznego wyzysku, lecz on sam nie jest i nie może być dziełem żywiołowego ruchu wyzyskiwanych proletariuszy, ani też — tym bardziej — nie może opanować świadomości mas bez aktywnego, zorganizowanego działania rewolucjonistów i ideologów.

Należy przy tym zwrócić uwagę również i na to, że tak, jak w realnym życiu, proletariat nie jest odizolowany od innych klas i warstw społecznych, i jego świadomość klasowa nie może być wyłącznie świadomością własnej sytuacji i własnych celów. Warunkiem niezbędnym rewolucyjnej skuteczności ruchu, zarówno w sferze teorii jak i w działaniu praktycznym, jest wszechstronna orientacja w całokształcie struktury klasowej społeczeństwa oraz aktywny udział proletariatu i jego partii w e w s z y s t k i c h, godzących w starych porządek, konfliktach o charakterze klasowym i nie tylko klasowym.

Niemniej mieszając się doń i uczestnicząc w procesie rewolucyjnym w ogóle (w znaczeniu celów i zadań burżuazyjno-demokratycznych), partia proletariatu nie może po prostu roztapiać się w tym szerokim nurcie. Powinna ona stać na czele ruchu i kierować nim. Hegemoniczna rola proletariatu i jego partii wynika w sposób naturalny stąd, iż jego ostateczne, rewolucyjne cele sięgają najdalej (rewolucja socjalistyczna). Jest to jednak znowu tylko możliwość. Jej urzeczywistnienie wymaga wytężonej pracy propagandowej i organizatorskiej. Słowem, „historia nie robi nic" (Marks), historię tworzą ludzie. Stąd wynika raz jeszcze ogromna doniosłość czynnika subiektywnego w leninowskiej koncepcji rewolucji. Partia nie może ograniczać pola swego działania tylko do klasy robotniczej. Pisał o tym już Marks w „18-tym brumaire'a", że rewolucja socjalna dopóty nie będzie miała szans w krajach o przewadze chłopstwa, dopóki nie przeciągnie na swoją stronę lub nie zneutralizuje tej grupy.

Problem sojuszników rewolucji proletariackiej, niedoceniany np. przez socjaldemokratów niemieckich (Lassalle: wobec proletariatu wszystkie inne klasy stanowią jedną reakcyjną masę), nabiera szczególnej wagi w epoce imperializmu, jako że w tej właśnie epoce pojawia się możliwość zwycięstwa rewolucji socjalistycznej w kraju nie najwyżej rozwiniętym, tj. chłopskim.

Innym sojusznikiem proletariatu stają się wówczas narody uciskane. Imperializm wzmaga wyzysk i ucisk narodowościowy. Ruchy narodowowyzwoleńcze stają się zatem obiektywnym sojusznikiem ruchu rewolucyjnego. Dlatego też tak wiele wysiłków poświęcił Lenin kwestii narodowej, formułując zasadę prawa narodów do samookreślenia i krytykując m. in. działaczy polskiej socjaldemokracji za niedocenianie wagi tego problemu. Lenin niejednokrotnie przestrzegał, że niedostatki programu mogą tu w przyszłości przynieść pożałowania godne efekty praktyczne. Niestety, na naszym terenie przestrogi Lenina ziściły się z całą dokładnością już w 1918 roku.

Mówiąc o możliwości dokonania rewolucji socjalistycznej w jednym kraju, myślał Lenin o Rosji; ale w Rosji, jak wiadomo, nie było jeszcze rewolucji burżuazyjno-demokratycznej. Czy wobec tego należało czekać, aż burżuazja spełni swe historyczne zadanie? W żadnym wypadku. W epoce imperializmu burżuazja nie jest już od tego zdolna. Nie tylko jest ona na to za słaba, ale rewolucja nie leży już w jej interesie. Despotyzm caratu jest burżuazji potrzebny. Pamięta przecież o przebiegu i doświadczeniach Wielkiej Rewolucji Francuskiej. W szczególności zachowała w pamięci jej okres jakobiński. Do rewolucji burżuazyjnej w Rosji trzeba by wciągnąć cały naród, a dla interesów klasowych burżuazji nie byłoby to zbyt bezpieczne. Jakobini francuscy wprawdzie przegrali, lecz „jakobini" rewolucji rosyjskiej, proletariat, to już całkiem co innego. Zupełnie nowa jakość.

Dlatego też, w głębokim przekonaniu Lenina, proletariat musi dokonać rewolucji burżuazyjno-demokratycznej z a burżuazję, a nawet w b r e w burżuazji. Nie może on jednak na tym poprzestać. Rewolucja burżuazyjno-demokratyczna przerośnie bezpośrednio w rewolucję socjalistyczną. Pozwalają na to warunki obiektywne. Trzeba jedynie dopełnić je wysiłkiem propagandowo-organizatorskim; nie tylko wśród samego proletariatu, ale wśród całej pracującej i wyzyskiwanej części narodu. Kwestia dwóch etapów rewolucji, kwestia „przerastania rewolucji burżuazyjno-demokratycznej w rewolucję socjalistyczną", stanowi drugi z centralnych punktów leninowskiej teorii rewolucji. To również sprawa sojuszników.

Wysunięcie zadań burżuazyjno-demokratycznych pozwoli wyzwolić ruch rewolucyjny na możliwie najszerszej podstawie, a w trakcie walki rewolucyjnej dokona się przyśpieszona radykalizacja mas (również nieproletariackich), która, zdaniem Lenina, nie pozwoli — uwzględniając maksymalny wysiłek propagandowy i organizatorski partii — na zatrzymanie procesu rewolucyjnego dopóty, dopóki cele rewolucji nie zostaną w całości wykonane, tzn. dopóki nie spełni ona swych najbardziej radykalnych, bo socjalistycznych zadań. Te same cele leżą zresztą naprawdę w interesie całego ludu pracującego. Proletariat nie chce przecież utrwalenia po wieczne czasy swego panowania klasowego, ale dąży do zniesienia klas w ogóle, do społeczeństwa bezklasowego. Do tego jednak potrzebuje najpierw dyktatury.

Dokończenie na str. 10

Drugi głos

Zygmunt Mikulski

ARTUR Sandauer w swojej „Liryce i logice" zauważa, że urbanizm międzywojennych poetów awangardowych w znacznym stopniu tłumaczy się ich wiejskim pochodzeniem, że tym technicystycznym radykalizmem brali rewanż za niedawną statyczność swej społecznej warstwy. Zgadzam się, że pobudką twórczości mogą być kategorie ideologiczne, czy społeczne, nie zgadzam — że socjalne. Także w poezji Przybosia, która „Równaniem serca" zrewelowała mi swego czasu wiele urokliwych elementów oryginalności (jakich — na końcu), nie zauważyłem kultu miasta dla jego stali i betonu, ale uwagę dla wielkiego skupiska ludzkiego tym wydatniej katalizującego liryczną sytuację jednostki. „Łodygi lamp wyjmowane z cementu tak lekko, jak wiatr z fałdów sukni" przecież wcale nie dają się odczytać jako afirmacja mechaniki miasta i jego bezosobowego, beztwarzowego automatyzmu. Przeciwnie — to prawie erotyk, tyle tylko, że rozegrany w scenerii rozjarzonej ulicy. Tak też przyjmowałem wszystkie ubranistyczne elementy w tych wierszach: jak alarm, jak plakat poetyckiej propagandy, mający nawet przerysowaniem mechanistycznego niebezpieczeństwa mobilizować liryzm, czyli dyspozycję wyłącznie indywidualną. Jeśli na przykład dla zwalczenia nałogu palenia rzuca się na mury wizerunek płuc spalonych, jak kartka papieru, nie oznacza to, że się gloryfikuje potęgę nikotyny.

Ale sam Przyboś tę interpretację udaremnił. Czym? Tym, co tu właściwie nie powinno wchodzić w grę, tzn. być przyjęte przeze mnie — czytelnika: odautorskim komentarzem. (Narcystycznym, wbrew wypowiedziom autora, że konstrukcji poetyckich nie da się przełożyć na zorganizowany innymi konwencjami język prozy, nieprzyzwoicie w dodatku częstym. W ogóle Przyboś poza oficjalnymi raczej ukłonami w stronę Mickiewicza i Leśmiana zdaje się być hermetycznie zamknięty dla innych, poza własnymi, spełnień poetyckich, co jest widocznym wyrazem wąskiej skali odczuwania — vide jego odczytanie Gałczyńskiego. „Poezja dla Matysiaków"? Pod tym zarzutem chętnie podpisze się o stopień bardziej „krytyczny" pan Kolasiński.) Otóż komentarz ten zdradza absolutny brak „perspektywy metafizycznej". Określenia tego nie używam w znaczeniu filozoficznym, tzn. nie ze stanowiska preferencji dla poetyk arealistycznych, mam natomiast na myśli w auto-egzegezach Przybosia nieobecność uwagi dla możliwości przedłużeń, immanentnego ruchu słowa spełniającego osiągnięcie „nieba poezji", możliwe nawet przy całkiem prymitywnej aparaturze środków formalnych. Wiersz — ze względu na intencję i właściwość mowy poetyckiej — ma być płaszczyzną startu dla doznania, które „wystrzelone" z jego wyrzutni ma poszybować w rejony wykraczające poza zasięg gramatycznie potraktowanych określeń i znaczeń zawartych w tekście utworu. Dla Przybosia — teoretyka — na odwrót — świat poezji jest skończony. Ba: wymierny i to nie kategoriami intelektualnego, czy uczuciowego poruszenia, ale wąsko pojętą „adekwatnością" metafory. „Tekst". Ten termin ograniczający, konkretyzujący potencję słowa w określonym kształcie znaków na papierze rzadko gdzie, jak tutaj, znajduje swe uzasadnienie.

Równanie serca? To ze stanowiska poetyki Przybosia wygląda tak: doznałeś na przykład odurzenia zapachem wiosennie poruszonej roli (to jeszcze Przyboś uznaje, bo „bez" i „księżyc" to dla niego znak najniższej jakości), a więc masz już pewną określoną wielkość (nie jakość, ta w algebrze nie występuje); kładziesz teraz znak równania i po stronie przeciwnej szukasz słów spełniających rachunek. Są? A więc można je uznać za definicję wyżej wymienionego doznania. W ten sposób mamy fiszkę na zapachu roli.

Nie potrzeba dodawać, do jakiego stopnia to postępowanie hamuje ruch słowa. Słowa, które — powróćmy do przykładu z wyrzutnią — winno, pozostawiwszy w pewnym momencie swój semantyczny człon, tym udatniej, tym czyściej zmierzać do... Tu pomoże Czechowicz. Jego słowo absolutnie nie wikła się w zależności od formalnych struktur językowych, które Przyboś przyjąwszy nadaremnie stara się przezwyciężyć. Ma coś z zawołania, z zaklęcia, to meta-język niejako spontanicznie, czy symultanicznie porywający ze sobą rezonans czytelniczy, przy czym ów przedrostek wcale nie oznacza dowolnego wyjścia poza obszar komunikacji, ale jakimś szczęśliwym trafem osiągnięte porozumienie w obrębie nowego kanonu. Nie straszmy się przedrostkiem. Wszak meta-prozaiczny jest język poezji. Otóż Czechowicz przeprowadzający proces określania swej wizji jeszcze przed czynnością wyrażania może sobie pozwolić na skrót w znaczeniu: tylko sygnał, tylko hasło wywoławcze. Zauważmy, że pewne obszary doznania w lekturze Czechowicza czytelnik przebywa sam, nie podawany z rąk do rąk przez metaforę metaforze. (Aparatura Przybosiowego wiersza nie odstępuje czytelnika na krok, jak zespół strzałek prowadzących do krawca w oficynie.) Ale skrót ten bynajmniej nie zatrzymuje, czy dezorientuje doznania. Przeciwnie: wyzwala je w kierunku zamierzonym przez autora, aczkolwiek nie pokazywanym przez wyciągnięty palec wskazujący. Tak asymptota zmierza do... właśnie — do czego zmierza asymptota? Do samospełnienia się. Oto odpowiedź na tamte trzy kropki. I pozostając na gruncie symboliki matematycznej można wyodrębnić dwa rodzaje traktowania słowa: słowo — równanie i słowo — asymptota. Pierwsze nie spełnia zapowiedzi, drugie jej nie daje. Tylko nieomylnie wiedzie ku poetyckiemu doznaniu.

Niezależnie jednak od faktu, że praktyka twórcza Przybosia nie przynosi utworów wynikłych z owego élan poétique, który jednemu rytmowi poddaje cały słowny materiał wiersza, że jest on bardziej mozaiką, niż obrazem, że wreszcie ta poezja to raczej rektyfikat prozy, aczkolwiek rektyfikat o swojej klasie — można z tego indeksu metafor wyjąć wiele dających czytelniczą satysfakcję. „Szybciej, niż wiewiórka zdążyłaby się domyślić", „potok toczy potoczną przenośnię". W określeniu pierwszym czujemy wyraźnie jak nazywanie przeskoczyło z jednej dziedziny w drugą. Już w trakcie kreślenia tych słów szybkość wiewiórki okazała się niewystarczająca i autor jakby w pośpiechu nie zdążywszy skreślić pierwszej połowy zdania kończy myśl — drugą. To, co w ten sposób powstało rzeczywiście gra szpieciem olśnienia, iskrzy wyobraźniową energią, jak z zetknięcia przeciwnych ładunków, które nie mogąc się pogodzić wystrzelają z siebie elektryczność. Poza tym ruch wiewiórki ma w sobie fizyczną bystrość jakże podobną do radosnego odruchu dłoni, kiedy z nagła i nieoczekiwanie udało się nam uchwycić uprzednio ukryty sens. Tu mamy jeden z najfortunniejszych produktów Przybosiowej aparatury słowa. Przypatrzmy się teraz potokowi. Mówi się „potok słów" i „język potoczny". Ale to wszystko sumuje się w „przenośnię", czyli w coś bardzo wyszukanego i poszukiwanego, przede wszystkim przez poetę. A więc mamy tu wizję mowy, której przenośnia jest zasadniczym, a nawet jedynym elementem. Ten fragment wiersza to piękna bajka o języku powszednim, którego każdy wyraz pobrzmiewa tercyną Dantego, czy sonetem Petrarki. Przy czym nic tu ze sztuczności, bo naturalność takiego użytkowania mowy została zagwarantowana potokiem jako elementem natury i życiem codziennym powołanym tu przez przymiotnik „potoczną". I jeszcze: potok toczy, więc może przetoczyć, czyli przenieść. Stąd ta „przenośnia" jako wynik przeniesienia przynależy również funkcji samej przyrody. Ile perspektywy w czterech wyrazach będących — zdawałoby się — tautologią!

Tak. Tylko że Przybosia trzeba czytać nie wszystko. A i to — wbrew Przybosiowi.

Kamena str. 3

Już w sierpniu 1944 r. zaczęły w Lublinie samorzutnie powstawać oddziały Milicji Obywatelskiej, złożone z partyzantów AL i BCh, żołnierzy I Armii, akowców oraz ochotników. Wydany 7 X 1944 r. dekret PKWN usankcjonował tę sytuację, określając strukturę i zakres działania MO. Początki były nadzwyczaj trudne. Mało ludzi, więc przyjmowano zasadniczo wszystkich, liczyła się tylko postawa polityczna. Początkowo funkcjonariusze nie otrzymywali nawet wynagrodzenia, jedynie deputaty żywnościowe. Byli skoszarowani, obowiązywała dyscyplina wojskowa. Niejednolite jednak ubrojenie i umundurowanie, nierzadko musiała wystarczać sama opaska i ręcznie napisane zaświadczenie komendanta posterunku. Słabe wyposażenie techniczne: w maju 1945 r. ówczesna Komenda Miasta Lublina posiadała dwa samochody („Olimpia" i „Gaz"), motocykl i 4 wozy konne.

A przecież obok walki z kontrrewolucyjnym podziemiem trzeba było wówczas uporać się z szeroką falą poważnych przestępstw kryminalnych, które, odziane czasem w cienką warstewkę mistyfikacji politycznej, kryły zwyczajny rozbój na szerszą skalę: napady rabunkowe z bronią w ręku, szantaże, morderstwa. Kwitła spekulacja. Bandy, przebrane czasem w polskie lub radzieckie mundury, grabiły często nie tylko ludzi, ale dewastowały też ocalałe resztki wyposażenia zakładów przemysłowych. Mnożyły się napady na funkcjonariuszy MO oraz UB (w samym tylko 1947 roku zginęło 328 milicjantów). Napisany chropawym językiem fragment autentycznego oświadczenia ówczesnego funkcjonariusza MO dobrze oddaje trudy tamtych lat, ludzki wysiłek i poświęcenie, a także bezwzględność przestępców:

W tej sytuacji zorientowałem się, że osobnik ten oddał strzał do tegoż funkcjonariusza UB i w związku z tym chwyciłem za PM, przeciągając go z tyłu do przodu, i kiedy miałem już oddać strzał, uprzedził mnie ten mężczyzna, oddając z pistoletu strzał w moim kierunku celny, raniąc mnie w lewą rękę i lewe płuco, w ten sposób PM upadł mi z rąk. Mężczyzna ten następnie oddał strzał do funkcjonariusza UB, który upadł, a następnie strzał w moim kierunku, który trafił mnie w lewe udo w okolicy stawu biodrowego, w wyniku czego upadłem.

Wiosna 1947 r. Funkcjonariusze przed Komendą Miejską przy ul. Zielonej. W środku — ówczesny szeregowy MO, obecnie kpt. Stanisław Janik.

DZIELNICOWY

Maciej Podgórski

O TAMTYCH latach walki napisano już sporo, ale rzetelnych relacji, pokazujących trudną prawdę ówczesną, powstało nie za wiele. Przeważają raczej „tygrysowe" sensacje, heroiczne eposy, wprawdzie z dobrą wiarą robione, acz topiące tę złożoną sprawę w konwencji przygodowo-rozrywkowej. Także o dzisiejszym trudzie organów Milicji krążą wersje, bardziej ukształtowane przez lekturę popularnych „kryminałów" i fascynacje redaktorów popołudniówek, niż wynikające z faktycznego rozeznania. Na kartach tych opowiastek, na ekranach małych i dużych, mnożą się pościgi, wyrafinowane zbrodnie, grzmią strzały, trup pada gęstym pokotem, a odbiorca, w bambosze i szlafrok odziany, albo też w garniturku i z kobietą przy boku, siedzi godnie w fotelu i zaciera spocone dłonie, z rozkoszą zażywając tej nieszkodliwej w końcu rozrywki.

Jak więc wreszcie pisać o tych sprawach i jak wygląda przeciętne milicyjne „dziś"?

Bywa rozmaicie. Czasem zdarzają się i takie przypadki. „Zwracam się w imieniu całej ulicy... z prośbą o pomoc, a mianowicie pod nr... mieszka małżeństwo... nie mają dzieci, ale prawie a nieraz i codziennie urządzają takie burdy pijackie, nie możemy spać, zakłócają nam odpoczynek. A ich słownik wyrażeń jest dość soczysty i niewybredny, odchodzi ta pospolita łacina. Tak piją wódkę do utraty przytomności, a następnie krzyczą nieludzkimi głosami i tak się to powtarza przez kilkanaście lat. U prywatnych meliniarzy kupują wódkę o każdej porze dnia i w każdy dzień. Trzeba się tym zainteresować i odizolować, żeby nasze dzieci się nie gorszyły i nie patrzyły na pijaków, ona jak się upije, chodzi po ulicy, przewraca się, spódnicę zawija na głowę, a dzieci na to wszystko patrzą. Ona podczas nieobecności męża idzie, jak nazywają, na metę, pije wódkę i często przyprowadza się mężczyzn, którzy przynoszą wódkę i piją. Dlatego piszę anonim, jestem jej bliską sąsiadką i nie chciałabym, aby się o tym dowiedziała".

— Te rzeczy trzeba gruntownie sprawdzać — mówi jeden z dzielnicowych Komisariatu III MO, st. sierżant Antoni Pawłowski. I zaraz dodaje — w ogóle wódka, alkoholizm i związane z tym wykroczenia oraz drobne przestępstwa to ważny choć nie jedyny, problem dla nas. Awantury uliczne, znęcanie się pijaka nad członkami rodziny, scysje z sąsiadami na tym tle. No i meliniarstwo. Przeważnie handlują babcie-rencistki. „Dorabiają" w ten sposób i to wcale nieźle, czasem po kilka tysięcy miesięcznie. Byłem u jednej. Sam nie mogę sobie pozwolić na taki komfort w domu, jak u niej, choć zarabiam nieźle i żona pracuje. A zwalczać ich dosyć trudno. Trzeba długo obserwować, złapać „klienta" z butelką w dzień bezalkoholowy na przykład, długie dochodzenie, a potem innych jeszcze skłonić, żeby świadczyli przeciwko pokątnej handlarce, co nie wszyscy chcą robić. Niejeden nie miałby gdzie lub za co kupić, a meliniarki sprzedają znajomym na kredyt. I tak to się roznosi pośród ludzi. Taksówkarze i nocni dozorcy przedsiębiorstw lubią „współpracować" z meliniarzami.

Jadę z sierżantem na tzw. placówkę, pomieszczenie, gdzie przyjmuje interesantów z dzielnicy. Sama dzielnica jest jakby dwuczęściowa: nowe osiedle i opodal zgrupowanie jednopiętrowych, obskurnych kamieniczek, niskich drewnianych baraków. Środowisko, przysparzające najwięcej kłopotów, siedlisko małych czasem, ale bardzo dotkliwych spraw ludzkich. Zresztą meliniarstwa i drobnej przestępczości także.

Placówka — na nowym osiedlu. Rozpoczynamy urzędowanie. On wyciąga z aktówki plik papierów: notatki służbowe, dokumenty z dochodzeń, meldunki i listy od ludzi, ja — „służbowy" zeszyt. Nagle przypominam sobie:

— A broń często pan ostatnio musiał wyjmować z kabury i używać?

— A wyjmuję, wyjmuję. Jak trzeba oczyścić i naoliwić. Także na szkoleniowym strzelaniu.

— I od kiedy to tak? — brnę dalej, nieco jednak speszony.

— Pracuję od 63 r. w Milicji, ciągle na etacie dzielnicowego, na służbie broni nie musiałem wyjmować ani razu, nie mówiąc już o użyciu. Palki też staram się nie używać za często, chyba że muszę.

Przerywamy rozmowę, bo wchodzą interesanci. Starsze małżeństwo. Rejwach się robi straszny. Mówi głównie ona. „Panie szanowny, panie szanowny, Malinowscy nic nie trzymali w tej piwnicy, więc zamknęliśmy komórkę dla siebie, czekaj Józeczku, antenę od radia mi oderwała, kłódkę na komórce, okno się otwiera, więc im przeszkadza drucik, co okno przytrzymuje, obrywała coraz, jak przechodziła, czekaj Józeczku, panie władza, 23 lata nie miałam z władzą do czynienia, a dziś sąsiedzi są bogaci, gospodynię na podwórku poniewierają, mężowi powiedział, skończę z tobą, ona się rozpycha, ta jego żona, ja na to nie pozwolę, milicjant do mnie będzie przychodził, po strychu chodzą, ona ciężka kobita, sufit mi załamała, pan władza zobaczy, on mnie strych zamknął, moją połowę, a tam mogły być moje rzeczy, wtedy byśmy komórkę otworzyli, jak byśmy węgiel na strych zanieśli, to byśmy komórkę otworzyli, a tak, to on chodzi i śmieje się."

Obręd — myślę sobie. Sierżant cierpliwie usiłuje się w tym rozeznać. „Przyjdę do was" — mówi w końcu. Wyszli.

— Takich spraw mamy setki, w tym roku załatwiłem około 480, ta się wlecze od roku, z przerwami, zaraz zjawią się ci drudzy — stwierdza spokojnie dzielnicowy. I ciągnie dalej — do mojego domu nieraz „interesanci" przychodzą, a mieszkam obok, M-3, o rodzinie długo opowiadają, sprawy często błahe, nie ma potrzeby interweniować, piszą też w kwestiach całkiem nie związanych z pracą Milicji, o załatwienie mieszkania na przykład.

Na razie nie ma nikogo. Pytam więc o sprawy osobiste. Do Milicji przyszedł bezpośrednio po odbyciu służby wojskowej. Ukończył roczną szkołę w Szczecinie, gdzie przyjmują po maturze. Zaczynał od plutonowego. Dziś ma lat 30. Mieszka w swojej dzielnicy — na nowym osiedlu. „Domator jestem — powiada — jak się przepracuje te swoje godziny, to się woli w domu posiedzieć, czasem za miasto wyjeżdżam z rodzinką, ale na „Sylwestra" chodzę regularnie, jakoś się dogaduję z kierownictwem, aby mi dyżur wtedy nie wypadł." W tej dzielnicy pracuje od trzech lat, ma przeszło 95 proc. spraw wykrytych. Obok wykroczeń i przestępstw związanych z wódką — kradzieże „na szkodę obywateli" (głównie w trolejbusach, z klatek schodowych), drobne włamania (szczególnie nocą na teren zakładów pracy), trudne kwestie z nieletnimi, nie pracującymi, chuligaństwo. Rzeczy powszednie, a roboty z tym mnóstwo: prowadzenie dochodzeń, przesłuchania świadków, konfrontacje, zabezpieczenie śladów, oględziny etc. Było też pisaniny, wszystko trzeba udokumentować. Siedzi przy stole niby spokojnie, lecz odpala papierosa od papierosa. „Lubię pracować z ludźmi — mówi — a tu mam świetną okazję, ale ludzie myślą, że milicjant to taki, co tylko patrzy, jak by kogoś do więzienia zamknąć, a nasza praca jest nastawiona przede wszystkim na zapobieganie. Rozmowy profilaktyczne w komisariacie, proponowanie pracy, wizyty w miejscu zamieszkania. W «kryminałach» o tym nie piszą, zresztą «kryminałów» nie czytam, to jest wszystko fikcja literacka, czytam «Problemy Kryminalistyki»".

Przerywają nam nowi interesanci. Istotnie — druga strona w sprawie o komórkę — strych — kłódkę — okno — drucik. Znów ta sama kołomyja: „Panie szanowny, on mnie powiedział, żeby nie ja, to był dawno na Unickiej był, ja mu kiedyś wyrwałem parę sztachet tylko..." itd.

Wychodzimy na obchód dzielnicy. Po drodze spotkanie z żoną sierżanta. Młoda, przystojna kobieta, wyszła z 3,5-letnią córeczką na spacer i po jabłka dla małej. „Zęby się psują od cukierków" — tłumaczy córce.

Dzielnicowy st. sierż. Antoni Pawłowski.

Fot. J. Huzar

Jesteśmy wreszcie u tych od komórki. Boczna uliczka. Dwa baraki mieszkalne, tyłem połączone. Okap dachu sięga głowy. Obie strony napiszą oświadczenia i sprawa pójdzie swoim tokiem urzędowym. Pogodzić się ich na miejscu nie dało. Jeszcze na głównej ulicy gonił nas jazgot damskich głosików. To obie panie, rozognione przyjściem dzielnicowego, wymieniały kolejną porcję uprzejmości. Mistrzynie w swoim fachu!

Kolejne odwiedziny. Matka dwu synów. Jeden — 17 lat, „złom zbie-

Dokończenie na str. 11

Wojsko widziane ...nieodświętnie

Dokończenie ze str. 1

A mimo to — raz po raz — spotykam mieszanie dywizji — z armią i całym Wojskiem Polskim. I nie ma siły, by te pomyłki wytępić. Nawet z okazji najpiękniejszych jubileuszów.

Patronowie

Nie bez kozery wymieniłem patronów dywizji, brygad czy pułków. W nadawaniu imion zawierała się piękna idea — nawiązywania do tradycji wolnościowych, demokratycznych, plebejskich. Do insurekcji kościuszkowskiej i powstań narodowych. Rzecz zastanawiająca: jakże często imiona tych samych patronów nosiły oddziały Gwardii czy Armii Ludowej, powstające w okupowanym kraju. Nie było łączności między partyzantami a żołnierzami, dzielił ich z górą tysiąc kilometrów — łączyła wszakże wspólna myśl: walki o Polskę niepodległą w ogóle, o Polskę plebejską, ludową — w szczególności.

Dlatego też tak logiczne było późniejsze, lipcowe połączenie się obu zbrojnych nurtów — tego na wschodzie z tym w kraju. Skoro jednym i drugim patronował Naczelnik w sukmanie, czy warszawski szewc, lub podpułkownik saper — stracony w warszawskiej Cytadeli.

Ogromnie byliśmy przywiązani do swoich patronów. Konspekt pogadanki o Romualdzie Traugutcie, naszym dywizyjnym patronie, przechowuję do dziś wśród najcenniejszych pamiątek, do których wraca się rzadko, ale zawsze z rozrzewnieniem.

Kto wie, czy właśnie te dywizyjne i pułkowe patriotyzmy nie wywołują naszego zżymania się, gdy np. o 3 dywizji pisze ktoś „kościuszkowcy". A my byliśmy — „trauguttowcy". Doceniamy męstwo i szczególnie długą drogę pierwszaków. Nie chcemy jednak nikomu oddawać swoich gorzkich porażek, klęsk, ale także — bitew zwycięskich i sukcesów.

Każda z dywizji, każda z armii ma swój bilans zwycięstw i strat. Może właśnie, z okazji święta, wrócić do ceny płaconej żołnierskim życiem w poszczególnych bitwach, bojach. Oto ona:

Żołnierska cena strat

Spróbowałem na podstawie danych, zgromadzonych w Centralnym Archiwum Wojskowym, zestawić tak zwane straty bezpowrotne (zabici i zaginieni bez wieści; bez rannych jednak) w poszczególnych bitwach.

Operacja budziszyńska 2 Armii — 7690; bitwa o Wał Pomorski — 1 Armia — 5532; operacja berlińska — 1 Armia — 3759; bitwa o przyczółki warszawskie (wrzesień 1944 — 3 dp, częściowo 2 dp) — 2921; bitwa o Kołobrzeg (3, 4 i 6 dp) — 1280; Lenino (1 dp) — 1062; bitwa o przyczółki nad Wisłą (Puławy i Dęblin — 1 i 2 dp) — 873; obrona przyczółka wareckomagnuszewskiego (1 bpanc, 3 dp) — 729; bitwa o Pragę (1 dp) — 551.

Ponadto, z o wiele mniejszymi stratami, toczono bitwy o Jabłonnę — Legionowo, o Warszawę w styczniu 1945, Pragę czeską, itp., itp.

Łącznie straty bezpowrotne 1 i 2 Armii WP wyniosły 27.058 żołnierzy. Przypominam — w tej liczbie nie ma rannych. Dla ilustracji zaś przytoczę proporcję między zabitymi i rannymi w bitwie o Kołobrzeg. Polegli i zaginieni bez wieści (głównie pod gruzami miasta) — 1280, liczba rannych — około 2 800. Tak więc co dnia, w ciągu 10 dni walk o Kołobrzeg, ginęło lub odnosiło rany około 400 polskich żołnierzy. Tylu, ilu liczy duża wieś.

Słowem — ogromna była liczba żołnierzy, którzy najdosłowniej płacili krwią za polskość Pomorza, Kołobrzegu czy Odry.

Onucki, owijacze, kociołek

Z najbardziej osobistego doświadczenia ośmielam się twierdzić, że mimo wszystko czasem ranienie było mniejszą dolegliwością na wojnie niż np. długi, trwający kilkaset kilometrów marsz. Cóż, byliśmy piechurami. Nie brakło bąbli na nogach, odcisków, odparzelin. Jak z bicza strzelił — w mróz, zawieję — maszerowaliśmy z górą 400 kilometrów od Warszawy po Wał Pomorski, a przecież nie była to odległość w linii powietrznej, lecz jakże często szło się bezdrożami.

Mocniej się wtedy starało ścisnąć w bucie onucki, silniej ściągnąć owijacze, krępujące łydki aż prawie po kolana, oczyścić plecaktorbę z zawadzających przedmiotów. A na postoju — marzyło się, by napełnić gorącą zupą lub kawą dwulitrowy, okrągły kociołek. Niestety, nie zawsze się to udawało.

Dajmy jednak temu pokój. Wystarczy, że przez sekundę zatrzymam uwagę czytelnika na tych szczegółach ekwipunku — onucka, owijacz, kociołek, drelichowy mundur i koszula z troczkami pod szyją.

Byliśmy ubrani, uzbrojeni, wyekwipowani identycznie jak Armia Radziecka. Skromnie, żeby nie powiedzieć — biednie, w zestawieniu z oszałamiającym wprost, na owe czasy, ekwipunkiem żołnierzy amerykańskich.

A przecież, jak się okazało, siła uderzenia naszej armii, a przede wszystkim Armii Radzieckiej, zaciętość, upór, charakter w bitwie i marszu przejawiały się mimo słabego materialnego wyposażenia. Nie patrzyliśmy, czy akurat przypada pora herbaty, śniadania, lunchu, by przerwać atak lub ostrzał artyleryjski, jak to się trafiało w armiach zachodnich. Łacno z tego wysnuć wniosek, że świadomość patriotyczna, chęć zemsty (nie bójmy się tego słowa), czyniły więcej niż tysiące transporterów, którymi podwożono do szturmu żołnierzy amerykańskich.

Ciska mną przysłowiowa szewska pasja, ilekroć we współczesnym filmie widzę jacyśmy to śliczni bywali w owych latach 1944—45. A jakże, nosiliśmy czapki — garnizonówki, mundury z haftowanymi łapkami, popijaliśmy z manierek i menażek, słowem przykłada się współczesną miarkę do tamtego naszego wyglądu. To prawda — nie byliśmy łachmaniarzami, jak by niektórzy chcieli nas przedstawiać. Byliśmy jednak — w sensie ubioru, jedzenia — wojskiem biednym, jak biedny był wówczas nasz kraj, jak potwornie zniszczony i przeorany był nasz główny sojuszniczy kraj — Związek Radziecki.

Tym bardziej — wydaje mi się — ów głodujący i zmarznięty żołnierz, przebywający setki kilometrów własnymi nogami, zasługuje na szacunek. Żołnierz, który szedł spod Lenino i Darnicy, z Syberii i Kazachstanu, dokąd rzucił go tragiczny wojenny los w roku 1940, jak i były partyzant AK-owski z Wołynia czy Lubelszczyzny, były partyzant BCh, AL z lubelskiego, rzeszowskiego, kieleckiego. Jedni i drudzy — z regularnych i partyzanckich oddziałów — mieli identyczny cel: dojść do Berlina. Cel dostatecznie rozpalający wyobraźnię, zachęcający do najwyższych poświęceń.

Po wojnie

A po wojnie, gdyśmy tak spragnieni pokoju wracali do Polski, wpadliśmy w wir domowej. Długiej, okrutnej, bolesnej, bratobójczej. To oddzielny rozdział i szczególnie tragiczny. Jakże gorzka była śmierć żołnierza, który trzykrotnie ranny na szlaku Lenino—Berlin ginął na lubelskiej, rzeszowskiej czy białostockiej ziemi. Jakże ciężko przeżyliśmy owe liczne fakty.

I jednocześnie na cichym froncie ginęli inni żołnierze. Saperzy. Padło ich w trzech pierwszych powojennych latach — 424. Dobyli z ziemi i murów 15 milionów sztuk min. I miliony, dosłownie miliony sztuk amunicji najrozmaitszych kalibrów.

Zupełnie świeżo opublikowano wiadomość o rozbrojeniu przez saperów, w lecie roku 1969, 145 tysięcy pocisków i min zgromadzonych pod Strzegomiem we Wrocławskiem. Dla saperów jeszcze ciągle nie nastał czas absolutnego spokoju.

Nastał szczęśliwie ów spokój dla innych służb i broni. To prawda, lotnicy i artylerzyści, łącznościowcy z Wojsk Obrony Powietrznej Kraju co dnia naprawdę muszą strzec czystości i spokoju naszego nieba, jak naprawdę — nie ćwiczebnie — strzegą morskich i lądowych granic żołnierze Wojsk Ochrony Pogranicza.

Ale generalnie — nastał i im, żołnierzom, chłopskim i robotniczym synom — inny czas. Ćwiczeń, doskonalenia umiejętności, szlifowania swych kwalifikacji.

Jakież to inne wojsko. We wrześniu 1939 roku na żołnierza przypadało 0,2 konia mechanicznego. Dziś na jednego żołnierza — prawie 40 koni. Jakże inne jest takie wojsko niż tamto, zapamiętane osobiście przeze mnie, gdy długość marszu wyznaczała wielkość odparzelin na nogach.

I jak całe współczesne polskie społeczeństwo, tak i wojsko końca lat sześćdziesiątych jest inne — światłe, coraz bardziej wykształcone. I świadomie patriotyczne. I doskonale zdające sobie sprawę, że minął dawny, wrześniowy czas osamotnienia.

Od Lenino począł działać ów cement polsko-radzieckiego braterstwa broni. I od lasów janowskich czy parczewskich.

Jakże mocno zdążył ten cement zakrzepnąć.

Alojzy Sroga

Kamena str. 4

Dialog z czytelnikiem

Dokończenie ze str. 1

młodego i zarazem współtowarzyszącego aktualnej formule pisma, czytelnika wszakże, dla którego stabilizacja — tak jak i dla nas — nie równa się stagnacji, lecz jest stanem równowagi dynamicznej, podatnej na proporcjonalne przesunięcia akcentów. Stąd wiele postulatów pod adresem „Kameny", zawartych w ankietach. Do tych spraw jeszcze wrócimy, a jest nad czym myśleć wobec niepokojąco małej ilości odbiorców pozyskanych w ciągu tego roku oraz wobec oczywistej potrzeby liczenia się z czytelnikiem może równie wiernym, tyle że reprezentowanym mniej imponującą cyfrą procentów niż odbiorca podstawowy.

Wprzód jednak jeszcze parę określeń statusu czytelnika. Zaskoczenie, jak najbardziej pozytywne, stanowi czołowa pozycja nauczycieli. Zawsze chcieliśmy ich „przygarnąć" do „Kameny", poświęcając sprawom szkolnictwa sporo miejsca, ale wyrywkowe sondaże czytelnicze w tym środowisku nie napawały optymizmem, a tu taka sytuacja! Jest więc nieźle, choć, oczywiście, mogłoby być lepiej, szczególnie w odniesieniu do Lubelszczyzny — co też podkreślał na naszych łamach kurator Okręgu Szkolnego Lubelskiego, Tadeusz Kącki. Tak samo, aczkolwiek z podobnym zastrzeżeniem, cieszy pokaźny procent uczniów z klas starszych. To z pewnością rola cyklów: „Przed maturą" i „Powtórka z polskiego". W ogóle zaś te 21,2 proc. młodzieży w wieku: 18—25 lat trochę nas zaskoczyło, w sensie dodatnim — rzecz jasna.

Niezależnie od postulowanej przez ogół respondentów potrzeby zwiększenia albo zmniejszenia takiej czy innej problematyki lub tematyki w piśmie, co jeszcze będziemy tu analizować — stwierdzamy, iż określone akcje publicystyczne, jakie już zrealizowaliśmy, dały pewien rezultat. To nam częściowo profiluje przyszłą działalność — **obok pokazywania kwestyj interesujących większość czytelników trzeba inicjować właśnie bardzo konkretne i raczej długofalowe akcje publicystyczne, trafiające przede wszystkim w określone środowiska i w swej różnorodności odpowiadające na rozmaite zapotrzebowania społeczne.**

Takie stałe rubryki czy akcje pozyskały i mogą pozyskać stałego, „specjalnego" czytelnika, choćby nawet istotna część odbiorców nie była zainteresowana, o czym świadczy dość równomierny rozkład głosów przy wkładkach: „Ziemia i Pieśń" (36 — czytam stale, 24 — nie czytam) i „Zapole" (29—26), podobnie w cyklu „Przed maturą" (32 — 16). Czasem takie przedsięwzięcia publicystyczne mogą nawet przekroczyć ramy „specjalnego" czytelnictwa i zainteresować większość, np. „Powtórka z polskiego" (43 — 18). Trzeba tylko dbać o dobranie odpowiednio szerokiej grupy społecznej, do której adresuje się określoną akcję. Żeby nie powtórzyła się sytuacja ze zbyt specjalistycznym cyklem: „Prasa zakładowa" — jedyny wypadek, gdy liczba głosów: nie czytam (29) przekroczyła liczbę głosów: czytam stale (8). Może zresztą rubryka ta robiona była nazbyt już informacyjnie.

W tym wszystkim nie idzie, rzecz jasna, o bierne schlebianie guścikom, utrwalanie stereotypów. Jeśli więc dla młodzieży, to nie zaraz nauka gitarowego brzdąkania czy kącik „awangardowej" mini-mody, lecz artykuł o znanym zespole bitowym, pokazujący ciężką pracę „gwiazdorów", czy rozważania o modzie młodzieżowej, poparte odpowiednią egzemplifikacją, wszelako nie stroniące też od kategorii psycho-socjologicznych (co anonsuje nasz kolega redakcyjny, M. Derecki — w oparciu o materiały z Anglii). Zresztą w ogóle zapotrzebowanie na problematykę młodzieżową w naszym piśmie bije rekordy (59 głosów: za mało, 13 — za dużo) i przekracza znacznie liczbę młodych czytelników. Jeśli, z kolei, dla uczniów, to nie infantylne opowiadanka o „granatowym mundurku", dziadkowe refleksje nad „tą" młodzieżą, lecz kontynuacja cyklicznych artykułów, przystępnie interpretujących zjawiska literackie (w tym roku planujemy rozpoczęcie przykładowych analiz współczesnych utworów, co wychodzi naprzeciw częstemu postulatowi: *ponieważ „Kamena" jest czytana przez młodzież, należy wprowadzić artykuły analizujące współczesną poezję).*

Gdy mowa o sprawach środowisk, to martwi nas nikły odsetek studentów i pracowników nauki wśród respondentów. Być może, otrzymaliśmy tu wskazówkę dla przyszłych penetracji (50 głosów: za mało, 16 — za dużo). Zresztą próby takie wielokrotnie ponawialiśmy, warto więc sobie życzyć znaczniejszego „otwarcia się" tego odbiorcy ku naszemu pismu, jeśli nawet przyjąć, że studentów czy naukowców obchodzą głównie sprawy z ich własnego podwórka. Niechby przygotowywany numer specjalny, poświęcony środowisku naukowemu i studenckiemu Lublina, stał się zaczynem wspomnianych penetracji. Natomiast małą liczbę rolników czytających „Kamenę" tłumaczymy m. in. faktem, iż problematyka rolnicza w naszym piśmie, jak popularnie mówią, trochę „leży". Trzymając rękę na sercu, przyrzekamy zmienić tę sytuację, jak to na innym odcinku już częściowo uczyniliśmy, publikując cykl: „Robotnicy Lublina".

Prócz szeroko pojętych kwestii personalnych staraliśmy się wyłapać w ankiecie rozmaite upodobania, postulaty i oceny czytelnicze, dotyczące pisma. Służyła do tego cała siatka krzyżujących się pytań. Wpierw problem najprostszy, mechaniczny niemal — długość artykułów. „Czy artykuły w „Kamenie" są zbyt długie i czy od długości tekstu uzależniasz jego przeczytanie?" W duchu: *długość nie ma znaczenia, uzależniam od wartości materiału*, albo: *nie są za długie* — odpowiedziały 53 osoby, krzyżowo eliminując jedną z odwrotnych możliwości. Dla trzech respondentów artykuły są... *za krótkie*, 31 głosów typu: *za długie* lub: w takim czy innym stopniu *uzależniam od długości*. Wreszcie 6 osób nie udzieliło rzeczowej odpowiedzi. Zdania są więc podzielone. Przewaga głosów pozytywnych zezwala — co najmniej — trzymać się dotychczasowej maksymalnej objętości artykułów: 7—8 stron znormalizowanego maszynopisu, którą raczej rzadko przekraczamy. Wyjątków (jak niniejsze omówienie choćby) nie trzeba się wszelako obawiać, aczkolwiek spora liczba głosów negatywnych zmusza tu do ostrożności, nadmierna objętość tekstu może bowiem stać się realnym problemem czytelniczym. Zatem winniśmy najczęściej oscylować poniżej „ewangelicznych" 8 stron, co byłoby pewnym zróżnicowaniem w stosunku do pism centralnych, jeśli wierzyć temu, co powiada pewien respondent: *to dobrze, iż (artykuły „Kameny") nie są tak długie jak w „Kulturze" czy „Polityce".*

Od kwestii najbardziej może szczegółowej przejdźmy do najbardziej chyba ogólnej, zarysowując w ten sposób ramę dla rozważań, które nastąpią potem. Otóż respondenci mieli okazję zhierarchizować wybrane przez nas gatunki publicystyczne. Bezsprzeczny prymat zdobył reportaż (55 głosów), następnie felieton (47) i wspomnienie (46), recenzja (38), obszerny materiał problemowy (24), krótki komentarz (18), *wszystko jedno, byle dobry* (6). Niska pozycja „krótkiego komentarza" i „obszernego materiału problemowego" świadczy, iż w wyborze nie decydował ewentualny rozmiar określonej formy dziennikarskiej, lecz przede wszystkim jej charakter (aczkolwiek parę osób namawiało nas na *materiały problemowe mniej obszerne).* Stąd wyłania się czytelniczy kult faktu, bezpośrednio przez autora przeżytego lub zaobserwowanego, słowem — kult wszelkiej empirii, głód opisu bezpośredniej materii życia. Wysoka lokata reportażu i wspomnienia w sposób oczywisty to potwierdza. Felieton zaś pojmują czytelnicy jako: *pisany na żywo, z życia nie z powietrza, o sprawach bieżących.*

Nie idzie zresztą jedynie o kult faktu aktualnego, ale również historycznego, i nie tylko — by tak rzec — fizykalnego, lecz także artystycznego. Wiele wypełnionych rubryk ankiety świadczy o tej skłonności czytelników. Wysoka lokata cyklu i artykułów o majorze Hubalu (M. Dereckiego), „wspomnień obrońcy" („Strzały przez ścianę", „Przeciw śmierci", „Tajemnica kawiarni »U aktorów«" K. Bielskiego). Zaskakująco duże zapotrzebowanie na tematy historyczne (57 — za mało, 12 — za dużo), szczególnie związane z II wojną światową czy w ogóle z historią najnowszą (*działania partyzanckie, ruch oporu, kampania wrześniowa, pierwsze i dalsze lata 25-lecia...*). Postulaty pod adresem „Kameny": *pisać o sprawach branych „na gorąco" z życia; wprowadzić konkursy z przeżyć i wspomnień; drukować pamiętniki lekarzy; pokazywać sylwetki ciekawych ludzi.* Większe zapotrzebowanie na samą literaturę (52 — za mało, 10 — za dużo) niż na krytykę literacką (42 — za mało, 16 — za dużo) — *popularyzacja poezji, prozy (nie rozprawianie o nich).* Uzasadnianie przez czytelników własnego wyboru: „wspomnienia obrońcy" — *bardzo życiowe; o prawdziwym zdarzeniu;* cykl o Hubalczykach — *odkrył prawdę o tamtych dniach.*

Ta ogólna tendencja kultywowania konkretu ujawnia się również w negatywnych ocenach dotyczących pisma: *żaden artykuł mnie się ostatnio nie podobał, bo wszystkie są urzędowe, służbowe; unikać gadulstwa i zwykłego „wodolejstwa", za dużo go jest; mniej belferstwa i łopatologii.* A więc liczy się przede wszystkim tzw. goły fakt, a dopiero potem jego interpretacja. Nasze rozpoznanie pokrywa się z diagnozą M. Szulczewskiego („Publicystyka i współczesność", Warszawa 1969, s. 10): „Dziennikarz nie może już dziś liczyć na powodzenie, jeśli chce opowiadać o świecie takim, jakim mu się on wydaje. Odbiorca chce widzieć świat, jaki on jest w rzeczywistości. Może poważnie traktować prezentowany mu pogląd, jeśli wynika on z faktów, ma formę rzeczowej, uczciwej propozycji. Doświadczenie bowiem uczy, że to właśnie realia i konkrety towarzyszą szczerości i prawdzie."

Trzeba się poważnie liczyć z taką sytuacją, świadomością jej niejako prześwietlać własne artykuły, ale nie tracąc równocześnie z oczu celów postulatywnych i wychowawczych dziennikarstwa, jeśli się nie chce wylądować na marginesie płaskiej opisowości, taniej sensacji czy zakulisowej plotki, choćby uprawianej przy najpoważniejszym temacie. Czytelnik bowiem miewa skłonność do traktowania lektury pisma jako rozrywki, wytchnienia po pracy, niezobowiązującej czynności, albo — w lepszym przypadku — mało pogłębionej informacji. Stąd szczególne powodzenie form krótkich, felietonowych, humorystycznych etc.: Odpowiedzi redakcji (67 głosów: czytam stale, 6 — nie czytam) — absolutny rekord powodzenia: *b. dowcipne, b. kulturalne, mało obiektywne;* Noty i notki (62—7); Kultura (krótkie informacje na str. 2; 60—8) — *ciekawy przegląd, b. wyczerpująco podawane, przestarzałe wyciągi z prasy codziennej;* Listy do redakcji (60—9); humor rysunkowy (59—6) — miłując narzekają: *beznadziejny i „Kamena z tego słynie, potrzebny ale po co taki płytki;* Big-beat (58—10) — w tym wypadku liczba zwolenników mogłaby być jeszcze większa, gdyby wszyscy zrozumieli, że chodzi o felieton Jacka, nie zaś o temat muzyki młodzieżowej *(nie czytam, ale tylko dlatego, że nie lubię beatu, natomiast za mało muzyki);* Poste-Restante (55—13) — tu już więcej kontrowersji, bo nie wszyscy chcą dociec „wyrafinowanych" celów tego jedynego w Polsce organu, gdzie każdy obywatel może wydrukować swój wierszyk *(świetne; wykreślić bo bzdura);* Minuta myślenia (49—8); Felieton z rezerwy (44—8).

Z tych samych źródeł wypływają zapewne pochwały w rodzaju: *felietony z ostatniej strony wytrzymują i przewyższają takąż stronę „Kultury"*, co uznajemy za przesadę. W obrębie tego trendu czytelniczego mieszczą się też liczne postulaty o poszerzenie działu czysto rozrywkowego: *wprowadziłbym pociechę ilustrowaną obrazkami na wzór komiksów; więcej piosenek młodzieżowych; na wzór „Timesa" kronikę towarzyską; humorystyczna kronika tygodniowa Lublina.* Żądania wielu rozmaitych humorów, dowcipów i zagadek, a krzyżówki przede wszystkim. Jeśli wobec ostatniego postulatu już ulegliśmy, choć były głosy przeciwne (*precz z krzyżówką! Tyle ich w innych pismach — co za wymaganie?! nie krzyżówki lecz konkursy czytelnicze*), to reszty żądań spełnić nie możemy, pozostając przy dotychczasowej porcji materiału tak czy inaczej lżejszego, choćby dlatego, iż spora część odbiorców oczekuje jednak na problematykę bardziej serio.

Ostatnim stwierdzeniem wkroczyliśmy na grunt tendencji zaskakująco sprzecznych. Obok kultywowania faktu — spore zapotrzebowanie na „czystą" interpretację świata, jaką jest filozofia (59 głosów: za mało, 19 — za dużo). Idzie tu albo o informację, albo często o „przechył" światopoglądowy, potrzebę instruktywnej porady *(istnienie Boga, etyka, sprawy światopoglądowe, o egzystencjalizmie i egzystencjalistach).* Zarzuciliśmy ostatnio kwestie filozofii i moralności, kiedyś w piśmie podejmowane, trzeba by po trochu do nich wracać, co odpowiadałoby naszym przeświadczeniom o postulatywnych celach publicystyki.

Druga sprzeczność, nad którą zaciążył chyba trend „rozrywkowy", to obok kultywowania faktu — dość wyraźna niechęć do, z natury rzeczy konkretnych, tematów gospodarczych (39 — za dużo, 24 — za mało). Może i zawinił tu sposób podania tematu (nasza wina)? Z kolei cieszy dość wysoka pozycja „Notesu Kameny" (53 głosy: czytam stale, 13 — nie czytam), jedynej w piśmie rubryki na stałe poświęconej kwestiom politycznym. Więc jednak decyduje sposób ujęcia tematu. Problem publicystycznego „sprzedawania" tematów gospodarczych będziemy musieli przemyśleć.

Obok kontrowersji czytelniczych, między którymi w praktyce dziennikarskiej przyjdzie nam lawirować, istnieją przecie płaszczyzny czytelniczej zgody. Zapotrzebowanie na teksty o muzyce poważnej, co zamierzamy spełnić. Właściwa proporcja tematyki sportowej — dla amatorów (rozkład głosów przy felietonie: „Z bocznej trybuny" — 31 czyta stale, 21 — nie czyta). Potrzeba szerszego uwzględnienia spraw plastyki (45 — za mało, 11 — za dużo; 45 osób czyta stale „Okolice sztuki", 9 — nie czyta), to warto będzie rozważyć. Spory głód kwestii dotyczących filmu (50 — za mało, 11 — za dużo), a równocześnie dość pozytywny rozkład głosów przy felietonie: „Ekran i widz" (41 — czyta stale, 13 — nie czyta), to także do rozważenia. Równomierny raczej rozkład na rzecz spraw teatru (30 — za mało, 19 — za dużo, 17 — wystarczająco) — właściwa proporcja tej problematyki dla amatorów. Zaskakujące powodzenie rubryki: „Iż Polacy nie gęsi..." (36 — czyta stale, 9 — nie czyta) — celowość kontynuacji tego kącika. Dość jednomyślne żądanie poprawy tzw. szaty graficznej pisma (*wykonać ciekawszą... wzbogacić... zmienić... zmienić szczególnie szatę graficzną strony tytułowej bo mało ciekawa, mało nowoczesna, mało estetyczna*), postulat większej ilości dobrych zdjęć, lepszego papieru, formatu jak „Forum" albo takiego, by było dobrze oprawić w rocznik. Wobec obiektywnych możliwości lubelskiej poligrafii większość tych postulatów wymyka się realnym rozważaniom (poza chyba kwestią „szaty graficznej"). „Przyczek" w stronę stałego zdjęcia „babki": zamiast *fotki gotej „piękności" dałabym ciekawy znaczek pocztowy* (48 lat, pielęgniarka), *nie licuje jakoś z poziomem i charakterem pisma* (lat „mnóstwo wiele", nauczycielka), *beznadziejne naśladownictwo* (32 lata, referent). Niedosyt tekstów literackich, a także, choć w mniejszym stopniu, krytycznoliterackich — przy równoczesnym powodzeniu „Moich lektur" (49 — czyta stale, 7 — nie czyta) — brawo dla T. Kłaka, autora tej rubryki, lecz dla nas kolejne zaskoczenie. Zawsze myśleliśmy, że proporcja zagadnień literackich jest właściwa, może nieco zakłócił ją ostatni 25-rocznicowy okres i stąd niepokój respondentów? W każdym razie obok żądań historycznoliterackich (Norwid, Przybyszewski, Witkacy, Peiper, Miciński, Czechowicz, Baczyński) — najczęściej postulaty z zakresu polskiej literatury najnowszej (*nowości literatury, aktualny prąd literacki, aktualne grupy poetyckie, specjalna strona tylko dla poezji etc.*), a także dotyczące pisarstwa ludowego (*o blaskach i cieniach*) oraz obszarów grafomaństwa (*o pisarstwie i „pisarstwie"*). Dwie ostatnie ewentualności zostały, być może, zainspirowane i częściowo przynajmniej zaspokojone przez artykuły M. Podgórskiego.

Sprawy literackie każą myśleć o profilu pisma, ten zaś o delikatnej kwestii „obsługiwania" przez „Kamenę" czterech tytułowych województw. „Czy nadruk: Lublin, Białystok, Kielce, Rzeszów — znajduje uzasadnienie w zawartości naszego pisma i czy czytasz materiały dotyczące innych województw?" Czytelnicy słusznie rozgraniczyli te dwa zagadnienia — stan obiektywny i stan przez nich postulowany. Na: nie znajduje uzasadnienia — padło 39 głosów, znajduje — 51, brak zdecydowanej odpowiedzi — 3. Czytam — 48, nie czytam — 31, brak odpowiedzi — 14.

Mamy zatem przewagę osób widzących zasadność nadruku i czytających rzeczone materiały. Spośród pozostałych respondentów można wydzielić trzy równorzędne grupy: 1) *„Kamena" powinna być na wskroś lubelska, lecz ogólnopolska pod względem renomy,* 2) *może byłoby lepiej, gdyby artykuły dotyczyły więcej spraw ogólnopolskich czy ogólnych,* 3) *wreszcie pismo tylko lubelskie.* W ostatnim *strasza czytelników z innych województw, bo sobie pomyślą: to nie z mojej parafii)?*

Z drugiej strony — poprzednio zanalizowany materiał ankietowy każe perspektywicznie trzymać się jak najszerszego zakresu problemowo-tematycznego (w przekroju społeczno-kulturalnym), z jeszcze większym tylko pietyzmem dla tradycji literackich „Kameny". Takie postępowanie dyktuje nam realna sytuacja pisma w końcu regionalnego. Ambitny czytelnik regionu musi mieć świadomość, że posiada wprawdzie zwykle jeden tylko, ale własny, ambitny i z konieczności zróżnicowany wewnętrznie organ, który doniosłością przekracza wszelako zaściankowe ciągoty. Dopiero poprzez tak pojęty regionalizm wiedzie droga na forum... ogólnopolskie, choćby się nawet tam wjeżdżało na miotle umiarkowanego synkretyzmu, czego nam także nie omieszkali wytknąć respondenci. Trudność podjęcia szerokiego zakresu spraw można by rozwiązać zwiększeniem częstotliwości pisma, zgodnie z życzeniem wielu czytelników (*z dwutygodnika na tygodnik, a nawet dziennik* — tylko bez przesady!).

47 czytelników zamieszkuje w mieście wojewódzkim (29 — w Lublinie), wśród nich 44 czyta „Kamenę" stale, w tym 4 — prenumeruje. W mieście nie wojewódzkim — 26 (19 — stale, 4 — prenumeruje). We wsi (osiedlu) — 19 (15 — stale, 3 — prenumeruje). Im więc głębiej w teren, tym niższa liczba czytelników, mniejszy odsetek stale obcujących z pismem, a większy procent koniecznej prenumeraty. Notabene w takim samym kierunku zwiększa się ilość narzekań na „niedostępność" pisma: *czytam nieregularnie, bo nie docierа do tutejszego „Ruchu"* (Chojnice, woj. Bydgoszcz), *kupuję w kiosku na stacji Przemyśl lub koło dworca Rzeszów* (mieszkaniec wsi). Całe to zestawienie jest wymowne, aczkolwiek pojmujemy obiektywne trudności kolportażu.

Na koniec — gest próżności z naszej strony. Autorski totalizator, dotyczący członków zespołu redakcyjnego, wymienionych w tzw. stopce. Wobec wielu czynników subiektywnych (staż autorski, częstotliwość publikacji, falowanie formy pisarskiej etc.) trudno traktować te rezultaty ze śmiertelną powagą, ale zabawić się wolno. Zatem — uwzględniając wszelkie pseudonimy i kryptonimy — prym wiedzie, jak się należy, sam szef (34 głosy), ostatnie zaś miejsce dzierży, wedle prawie obiektywnej słuszności, najnowszy nabytek redakcji, w momencie rozpisywania ankiety jeszcze współpracownik, M. Podgórski (18). Po szefie — K. Bielski (33), dalej: M. Derecki i R. Wiśniewski (po 17), Z. Mikulski (15), J. Dostatni (13), I. J. Kamiński (12). Reszty nie sklasyfikowano.

Spośród aktywu pozaredakcyjnego wysuwa się do przodu była wieloletnia szefowa „Kameny" — M. Bechczyc-Rudnicka (17), następnie J. Barecki, T. Kłak, U. Kowalska (po 9).

Kazimierz Andrzej Jaworski, nestor kamenowych tradycji, założyciel pisma i jego pierwszy redaktor, nie zaszczyca nas zbyt często swoją obecnością na łamach, ale mimo to ma zagorzałych wielbicieli, którzy domagają się częstszego zamieszczania utworów KAJ-a, jego przekładów poezji rodzieckiej i innej. Ba! Gdyby to tylko od nas zależało. Cała nadzieja w załatwieniu tej sprawy po linii rodzinnej, o co wszak tylko sam szef-MAJ może się postarać.

Redakcja

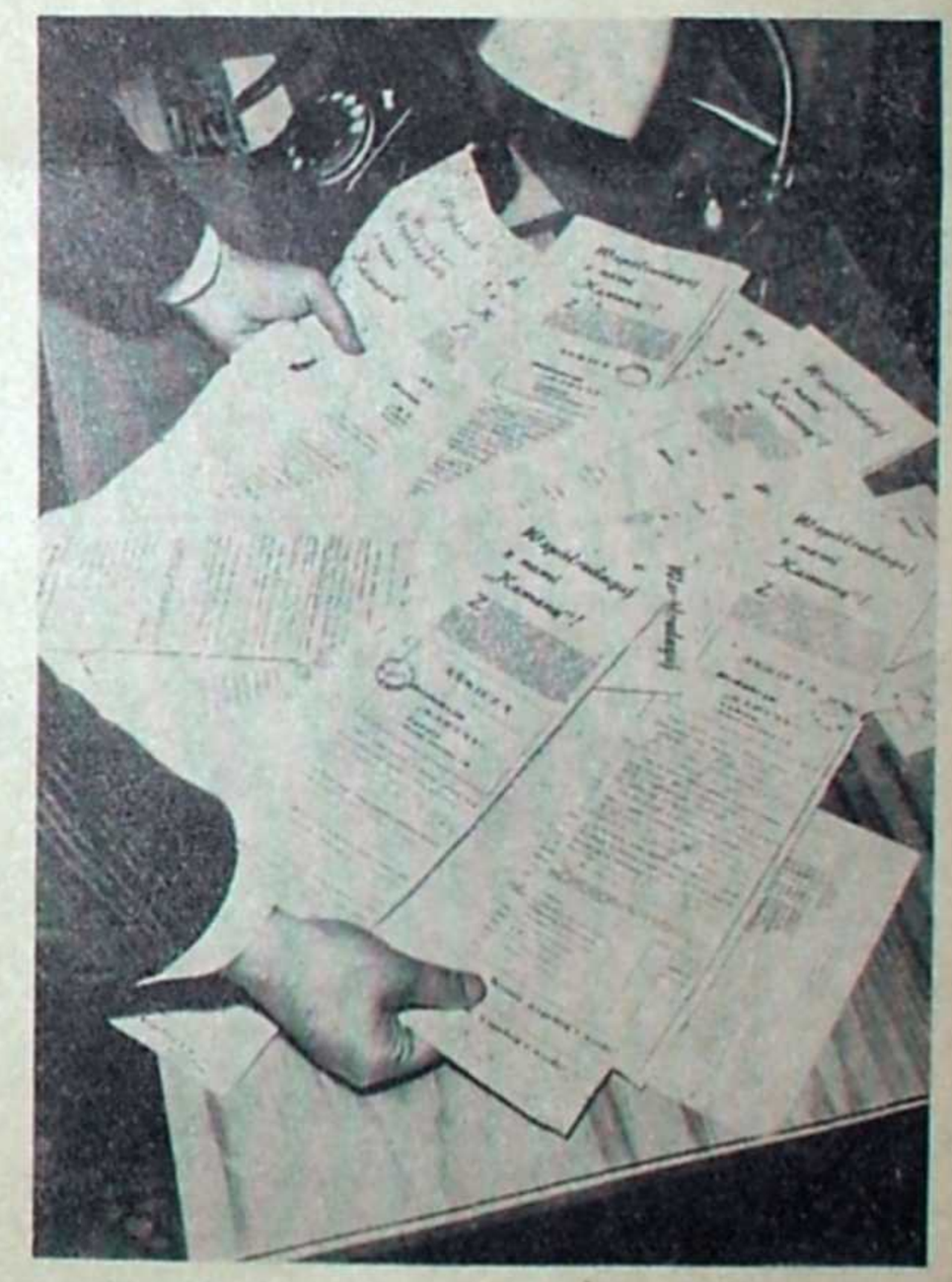

CAF — fot. J. Huzar.

Nagrody książkowe wylosowali Andante, Amigo, Marcin Michał Praga, Salomea Wicherek, Stanisław Jamech (?) z Przemyśla, Trejbus (? lat 16 z miasta powiatowego, Wierny Czytelnik, Wrzos, Włókniarz. Wymienionych prosimy o nadesłanie dokładnych adresów oraz właściwych imion i nazwisk.

W KRAINIE HIPPIESÓW

Dokończenie ze str. 1

eleganckich samochodów, najbardziej naiwni, najbardziej zagubieni współcześni romantycy.

Tak więc podążałem w ich kierunku, przedzierając się przez gąszcz maszyn wytwornych, w tłumie turystów różnych zagranicznych, kobiet i mężczyzn wypomadowanych i wylakierowanych, lub studenckich wycieczek francuskich i włoskich roztrajkotanych, wśród zakonnic i Murzynów, z aparatami fotograficznymi przygotowanymi do strzału, już, już wycelowanymi w ową dziwaczną zbieraninę pod figurką Erosa, a właściwie nie Erosa — bo to tylko popularne określenie — tylko Anioła Chrześcijańskiego Miłosierdzia, wycelowanymi w ten młodzieńczy wągier na czole ich wypielęgnowanego mieszczańskiego dobrobytu, który zginie przecież, przepadnie po okresie dojrzewania, który trzeba zauważyć i obejrzeć pobieżnie, ale który na pewno nie pociągnie za sobą przykrych następstw. A ja dodatkowo chodziłem po księgarniach i pytałem: „Czy macie jakąś książkę dotyczącą problemów współczesnej młodzieży, hippiesów i im podobnych? „Wszędzie odpowiedź brzmiała: „No books, no problems with hippies". Nie ma książek o hippiesach, bo z hippiesami nie ma problemów. Są tacy łagodni. Bijącym ich policjantom wręczają kwiaty. Ostatnio nawet nie śmiecą. Więc i problemów nie ma. Niech sobie żyją jak chcą. A najlepiej o nich zapomnieć i nie dostrzegać.

Więc szedłem wmieszany w tłum i zastanawiałem się, czy dojdzie dzisiaj znowu do dyskusji na stopniach fontanny, czy znowu spotkam tych trzech młodych Włochów z włosami do połowy pleców, w afgańskich kożuszkach (choć był lipiec) na gołe ciało i — pomimo złotych krzyżyków zawieszonych na szyi — mieniących się być komunistami, ponieważ jeden czytywał stale dziennik „Unita" i niektóre artykuły referował dwom pozostałym, a poza tym wszyscy trzej czuli po prostu sympatię do komunizmu. „Partia komunistyczna we Włoszech — mówili — liczy 4 miliony członków, a jeśli aż tyle, a nie mniej, to znaczy, że idee głoszone przez tę partię są słuszne, w dodatku przecież nie jacyś burżuje, kapitaliści je sobie wymyślili, tylko robotnicy, sól ziemi, krew narodu i dlatego mają słuszność, muszą mieć słuszność, tak, tak, tylko komunizm może postawić całe dzisiejsze zdegenerowane społeczeństwo na nogi". Ale znowu nie byli zupełnie pewni, czy nie powinni zostać maoistami, tym bardziej, że maoizm kojarzył im się z anarchią, a dopiero anarchia to prawdziwe wyzwolenie się człowieka i społeczeństwa z okowów konwenansu, pieniądza itepe itede, a w ogóle dopiero społeczeństwo bezklasowe jest najszczęśliwsze i najautentyczniejsze.

Tak to sobie gawędziliśmy przyjemnie i gdyby jeden Szwed w pobliskiej grupie nie zaczął wykonywać tańca brzucha w takt piszczałki i bębenka, dyskusja przeciągnęłaby się prawdopodobnie do późnych godzin wieczornych, ale cóż, młodość ma swoje prawa, trzeba było zrezygnować z filozofii na korzyść Terpsychory. Pożegnałem się tedy z nimi i poszedłem do domu.

Teraz, kręcąc się w tłumie hippiesów i turystów, następując bezustannie na nogi i dłonie leżących, wdychając słodkawy dym indyjskich kadzideł, unoszący się wąskimi spiralami z cienkich pałeczek osadzonych po prostu w jabłkach lub pomarańczach, szukałem moich Włochów. W pewnym momencie na przeciwnym krańcu placu zrobiło się zamieszanie, potem usłyszałem płaskie, rytmiczne dudnienie małego bębenka, ludzie zaczęli się rozstępować, wyłoniła się procesja, złożona z młodych ludzi o wygolonych głowach, a ubranych w powłóczyste hinduskie szaty. „Wyznawcy boga Kriszny" — powiedział stojący obok mnie chłopak z gołym pępkiem i z szacunkiem pochylił czoło.

Wyznawcy Kriszny nie mieli oliwkowej cery, ani sarnich oczu. Przeciwnie, były to zdrowe amerykańskie chłopy, po metr osiemdziesiąt minimum, z kwadratowymi szczękami i o szerokich barach. Postępowali godnie, przeświadczeni o wadze swego posłannictwa. Jakby mimochodem rozdawali ulotki otaczającym ich ludziom. Treść ulotek brzmiała mniej więcej tak: „Co to jest Bóg? Siła, Istota, Myśl? Bóg jednoczy w sobie wszystkie te pojęcia i jest czymś więcej jeszcze. Bóg zawiera całą piękność, siłę, wiedzę, moc. Żadna inna istota materialna lub niematerialna nie jednoczy w sobie równocześnie wszystkich tych zalet". Dalej było napisane, że chodzi, ma się rozumieć, o boga Krisznę. Każdego roku odbywają się wielkie uroczystości na jego cześć oraz dla upamiętnienia podróży boga z miejscowości Kurukshetra do Vrindaban, pięć tysięcy lat temu. Ponieważ bóg jest pełen łaskawości i miłosierdzia, chętnie objawia się adorującym go pod postacią uczucia szczęścia jednak tylko pod warunkiem, że będzie się przez dłuższy czas recytować Święte Jego Imiona w następującym porządku: „HARE KRISHNA HARE KRISHNA KRISHNA KRISHNA HARE HARE/HARE RAMA HARE RAMA RAMA RAMA HARE HARE." Inne zestawienie słów nie wywoła — jak się rzekło — uczucia szczęścia i łaski. Najlepiej jest odmawiać „mantrę" podczas codziennych zwykłych czynności jak praca, spacer, jazda metrem. Dodatkową zaletą „modlitwy" jest fakt, że posiada ona właściwości oczyszczające — rozjaśnia umysł, wyostrza zmysły. Ogólnoświatowy Ruch Poznania Kriszny sprawi, że na świecie zapanuje pokój. Ruch ten rozpoczął się w momencie, gdy do Bostonu w USA przybył w 1965 r. Jego Świątobliwość A. C. Bhaktidevanta Swami, siedemdziesięcioczteroletni kapłan z Indii. Od tego czasu powstało już na Zachodzie wiele świątyń (ulotka nie wymienia ile), o ostatnio wyznawcy boga czynią starania, aby świątynia taka została otwarta także w samym sercu Londynu. Wkrótce w gazetach powinny ukazać się bliższe wiadomości. Wszyscy, którzy mogą służyć założycielom świątyni lub międzynarodowemu Stowarzyszeniu Poznania Kriszny pomocą materialną lub dobrym słowem, proszeni są o skontaktowanie się z takim to, a takim numerem telefonicznym.

Ulotka zredagowana jest w sposób atrakcyjny i... z wyczuciem mentalności sporego odłamu współczesnej zachodniej młodzieży. Treść — łatwo przyswajalna, nie zmuszająca do wysiłku myślowego. Kilkuzdaniowy wstęp „filozoficzny", a potem już atrakcja goni atrakcję, niemal jak w „Daily Mirorr" albo „News of the World": doroczne festiwale i obchody, pielgrzymka sprzed pięciu tysięcy lat, wyjątek ze staroindyjskiej literatury, szlachetny starzec z dalekiej Indii przybywa do Bostonu, wreszcie — „mantra", zaklęcie tajemnicze a nieskomplikowane, proste w użyciu i niezawodne w działaniu. W sumie — przyjemna rozrywka podczas jazdy metrem lub na wieczornej przechadzce ulicami Londynu. Jak dobrze zrzucić ze stóp sandały i deptać bosymi stopami chodniki metropolii, zmiatać pył rąbkiem powiewnej szaty! Problemy współczesnego świata stają się dalekie i mało ważne, a bierne wyczekiwanie na ogólnoświatowy pokój urasta do najważniejszego problemu życiowego. I wszyscy są zadowoleni i szczęśliwi. Jego Świątobliwość A. C. Bhaktidevanta Swami jest zadowolony, bo przybywa mu wyznawców, młodzież jest zadowolona, bo odnalazła cel istnienia, rządy wielu państw są zadowolone, bo szlachetny kapłan z Bostonu znów nieświadomie odwrócił uwagę grupy młodzieży od spraw, którym powinna się przyjrzeć ze szczególną uwagą. Zaprawdę, wielka jest moc „mantry": daje ona uczucie zadowolenia, choć może nie zawsze rozjaśnia umysły.

Procesja dawno już zniknęła wśród neonów Shaftesbury Avenue, a ja ciągle jeszcze stałem zafascynowany, obracałem w dłoniach ulotkę i zastanawiałem się, jakby tu dobrym słowem pomóc Międzynarodowemu Stowarzyszeniu Poznania Kriszny, gdy nagle uświadomiłem sobie, że wyznawcy boga wcisnęli mi w ręce jeszcze jeden papierek. Był to niewielki trójkątny kartonik ze stylizowaną fioletową sylwetką nietoperza i napisem: „Die Fledermaus. Scandinawian and German students Discoteque". Poniżej małymi literami informowano, że niniejsza karta służy jako zaproszenie dla dwojga osób z tym, że „men" obowiązkowo muszą posiadać „jackets and ties", czyli marynarki i krawaty, natomiast paniom pozostawia się pełną swobodę w doborze stroju. Ponieważ strój mój akurat odpowiadał określonym w zaproszeniu wymogom, a świątynia Kriszny i tak znajdowała się jeszcze we wstępnym stadium organizacji, postanowiłem zapoznać się z wyznawcami boga w innym ich wcieleniu.

„Die Fledermaus" mieści się w Soho, przy niewielkiej, zacisznej Carlisle Street. Tuż obok, niemal przez ścianę, usadowił się niewielki lokalik strip-teasowy z jasno oświetlonymi gablotami, za szybami których miłośnicy piękna kobiecego ciała mogą przekonać się, czy panie prezentowane na fotografiach odpowiadają ich wymaganiom. Elegancki starszy pan u wejścia, uśmiechając się uprzejmie, okrągłym ruchem dłoni zaprasza do wnętrza. Ale nie mnie, nie mnie on zaprasza, bo ja chłystek dla niego jestem, na pierwszy rzut oka niepotrzebnego intruza on we mnie wyczuwa, dusigrosza głupiego, co by najwyżej funta za bilet odpalił, ale jakby się do niego artystka po pokazie do stolika przysiadła, o butelkę whisky się napraszała, to on by zaraz przepraszał, na zegarek spoglądał i w kierunku wyjścia popatrywał. Więc przechodzę spokojnie, nie nagabywany, a wraz ze mną spory tłumek takich, co im tylko rock and roll, a nie prawdziwa sztuka w głowie. Wchodzę w drzwi, gdzie wielkimi fioletowymi literami na czerwonym tle „Die Fledermaus" napisane, a tam już mnie od progu Rolling Stones'ów muzyka wita, i zaraz od progu ogłusza, i chrypliwy głos disc-boya, zapowiadającego następną płytę, serce o drżenie przyprawia. A tu już chłopaczek z bakami, we wciętej aksamitnej marynareczce, koronkowej koszuli i szerokich spodniach typu bottom-bells do mnie przyskakuje i z uśmiechem zapytuje, czy mam życzenie do ich studenckiego klubu należeć. To ja, ma się rozumieć, że tak, że życzenie mam ogromne i co tylko mam zrobić, żeby do tego ich pięknego, ekskluzywnego świata się dostać? On mi na to: „Student jesteś, jak widzę (skąd on to widzi?), tylko powiedz mi, jaka jest twoja nationality i wpisz się do książki klubowej. „Więc ja mu: „I am from Poland", a on już cały roztapia się aż w uśmiechach, po plecach mnie klepie delikatnie, „gut, gut", powiada, „good boy" poprawia się po angielsku, bo może ja Niemców nie lubię, a tu przecież byznes, interes jest, i nie można gościa stracić, w narodowe sympatie lub antypatie się bawić. I już wszystko w porządku i o'kay, „Mirosław Derecki" wpisuję z zakrętasem do księgi, on mi już bilecik wręcza, a kompan jego zaraz przedziera, ale — mówi — jeszcze funta, funcika ty nam daj kochany, bo my biedni studenci i na chleb musimy zarabiać. Więc ja trochę kucam z wrażenia, ale co tam, zaraz im z polską fantazją błękitnym pięciofuntowym banknotem w oczy świecę, choć i spod powiek chyłkiem popatruję, czy resztę solidnie wydadzą. I już mogę wejść do wnętrza i zażyć do woli, do trzeciej nad ranem, solidnej zachodniej studenckiej zabawy i na dziewczyny różne piękne, długowłose, Szwedki, Dunki, Niemki, popatrzeć do woli. Tylko trudno cokolwiek rozeznać w półmroku, w przyćmionym świetle kandelabrów, w oparach dymu, w zbitym tłumie drepcącym na parkiecie i tylko domyślać się mogę, że dziewczyny są w strojach z Carnaby Street, z Oxford Street czy też Kensington Church Street, i coś mam dziwne przeświadczenie, że takie same one studentki jak i ja student, bo drogo, drogo jest w „Die Fledermaus" i nie na kieszeń przeciętnego studenta zabawa się tutaj odbywa. I że student, nawet taki „fałszywy" jak ja, dziewczyny tutaj do zabawy nie znajdzie, tylko bar czyli bufet mi pozostaje, więc tam też kieruję swoje kroki i na wysokim stołku siadam. I co się dzieje? Wyjść z podziwu nie mogę, bo oto nagle dziwnie znajome, jędrne polskie słowo w ucho moje wpada, a słowo to jest pełne ekspresji, z pasją wywarkiwane przez zęby. Patrzę, a obok mnie siedzi nad kuflem piwa chłopak płowowłosy, w spodniach sztruksowych z warszawskich ciuchów rodem, i ból rodaka, który musiał za granicą wydać funta na zabawę zamiast na ciuchy, w oczach się jego maluje. „Cześć — mówię więc do niego. — Jak ci się tutaj żyje?", wstawiając między te słowa jeszcze ze dwa bardziej dosadne. A on mi się na to prawie na szyję rzuca i powiada z rozrzewnieniem: „Stary, pierwszy raz od miesiąca ktoś do mnie prawdziwie zagadał po polsku"!

Tak właśnie poznałem Dzidzia, studenta z naszej stolicy, a znajomość ta kazała mi w niedalekiej przyszłości zapomnieć, że jestem studentem City of London College, sprowadzając równocześnie na tak zwane reporterskie ścieżki. Ale o tym w jednym z następnych reportaży.

Mirosław Derecki

Wycieczka do Stambułu

Jerzy Blaim

Z BUŁGARSKIEGO Neseberu odpływamy około godziny 21, po dość enigmatycznej odprawie celnej. Polską wycieczkę obok naszych „orbisowców" pilotują dwaj przedstawiciele „Balkanturistu", jak podejrzewam, Bułgarzy tureckiego pochodzenia. Statek „Vasil Kolarov" nie ma imponującego wyglądu — 1 000 ton wyporności to niewiele nawet jak na żeglugę czarnomorską. Wyposażony jest jednak wcale nieźle: dwie sale jadalne, nigt-bar oraz 4-osobowe, dość wygodne kajuty pasażerskie z ciepłą i zimną wodą.

O szóstej rano czasu miejscowego wpływamy, przy ładnej, słonecznej pogodzie, do cieśniny Bosfor. Po prawej stronie brzeg europejski, po lewej azjatycki. Strategiczne i gospodarcze znaczenie tej cieśniny w sposób niedwuznaczny awizują przyczajone w zatoczkach szare, smukłe dozorowce VI US Nawy. A w ogóle obecność bardzo odległej Ameryki będzie nam towarzyszyła przez cały 18-godzinny pobyt w Stambule.

Cumujemy w porcie przy nadbrzeżu Kali Pazari Rihtymy, tuż za okazałym rachtowcem Lykes Lines z wielogwiaździstą flagą na maszcie, z którego wychodzi wcale pokaźna liczba pasażerów w mundurach US Army. Na nadbrzeżu liczne urządzenia portowe noszą oznakowanie tej samej szacownej instytucji. Ale policjant i celnik, którzy podchodzą do naszego trapu, to już autentyczni Turcy, tyle że u pasa każdego z nich tynda ostentacyjnie kolt kaliber 45, a uniform policjanta stanowi wierną kopię Military Police.

Formalności celno-paszportowe trwają krótko, policjant wydaje każdemu uczestnikowi wycieczki imienną przepustkę w języku angielskim i odchodzi, a celnik zostaje na statku, obwieszczając wszem i wobec, że wynoszenie jakichkolwiek towarów ze statku jest surowo zabronione, natomiast wnoszenie mile widziane. Zaciekawiony podchodzę do celnika i przy pomocy polskiego „Carmena" i dwóch cukierków „E. Wedla" wyłudzam od niego informację, że bułgarskie papierosy, które bez ograniczeń można nabyć w bufecie na statku, są bardzo cenione przez tureckich palaczy: 5 centów za paczkę. Wiadomość ta dla mnie, jako palacza, osobiście nieprzystna, okazała się bardzo cenna dla niektórych pań z naszej wycieczki.

Zgłaszają się bardzo sympatyczni przedstawiciele tureckiego biura i wkrótce dwoma autokarami, pod opieką zjednoczonych sił polsko-bułgarsko-tureckich biur podróży, wyruszyliśmy na zwiedzanie miasta.

Istambuł to miasto liczące około 2 mln 200 tys. mieszkańców, jedyne w swoim rodzaju, bo położone na dwóch kontynentach. Rozłożone na siedmiu wzgórzach wzdłuż brzegów Bosforu, ma łącznie około 60 kilometrów długości. Długa i burzliwa historia tego miasta, które istnieje od 2 600 lat, jest widoczna na każdym nieomal kroku. Już ze statku widać stare, zrujnowane twierdze nadbrzeżne, różnorodny styl zabudowy miasta, nad którym górują smukłe i liczne minarety meczetów. Brzegu europejskiego z azjatyckim nie łączy żaden most. Jedynie regularnie kursujące promy zapewniają stałą łączność komunikacyjną. Ze względu na możliwości czasowe, które okazały się niewystarczające nawet dla dokładnego poznania niektórych tylko zabytków, program naszej wycieczki obejmuje zwiedzanie części europejskiej. Sam objazd autokarem znacznej nawet liczby dzielnic daje mgliste zaledwie pojęcie o przebogatej architekturze. Przez niesamowicie zatłoczone ulice i zaułki dobrnęliśmy wreszcie do jednego z 900 meczetów.

Zbudowany w latach 1609—1616 meczet sułtana Achmeda, zwany błękitnym, zdobny w sześć mineretów i otoczony rozległym dziedzińcem, uważany jest za najpiękniejszą świątynię mahometańską tego miasta. Swą nieoficjalną nazwę „błękitny" zawdzięcza niebieskim kafelkom, którymi wyłożono jego wnętrze, jarzące się nasyconym poblaskiem tego koloru. Przed wejściem na dziedziniec, a także przed samą bramą meczetu, handel kwitnie w najlepsze.

Następny obiekt to pałac Tophapi. Jest to właściwie cały kompleks budowli różnej wielkości i stylu. Nic dziwnego, bowiem powstał na przestrzeni pięciu wieków (XV—XIX), a każdy z aktualnych sułtanów uważał za punkt honoru, aby pozostawić po sobie jakąś trwałą pamiątkę, chociażby tylko w postaci okazałej tablicy, opiewającej jego liczne cnoty. Przez słynną „bramę szczęścia" przechodzimy do pomieszczeń, gdzie zgromadzono bezcenne dzieła sztuki, liczne skarby zbierane przez kolejnych sułtanów. Natomiast skarbiec sułtański nie czyni wielkiego wrażenia, mimo niewątpliwego bogactwa eksponatów. Może to po prostu wina wadliwej ekspozycji, w każdym razie szczerozłote puchary i misy, a także broń wysadzana drogimi kamieniami, wydają się dziwnie tandetne. Odczucie to wzmaga jeszcze widok sułtańskiego tronu w kształcie topornej, chłopskiej ławy z oparciem, obitej grubą złotą blachą. Blednie — ukształtowany przez lekturę awanturniczych książek i oglądanie takich filmów — mit o olśniewającym bogactwie władców wschodu. Natomiast nie sprawia żadnego zawodu największy na świecie i przepyszny artystycznie zbiór chińskiej porcelany. Nie dziwi też wcale informacja, że muzealna wycena jednego tylko eksponatu wynosi około 100 tys. dolarów.

Wracamy na statek. Trasa prowadzi wzdłuż wybrzeża nad Morzem Marmara. Po lewej stronie widoczny z daleka masyw hotelu „Hilton", zbudowany przez Amerykanów i po piętnastoletnim użytkowaniu przekazany tureckim władzom miejskim.

Po obiedzie — indywidualne zwiedzanie miasta. Wszyscy wybierają się zgodnie do jednej z największych atrakcji Stambułu — Wielkiego Bazaru. Pomni życzliwych rad, udzielonych nam przez tureckich gospodarzy, aby trzymać się w grupach i po zapadnięciu zmroku bezzwłocznie opuścić ten przybytek, udajemy się tam autokarami, kursem nadprogramowym i gratis, a to dzięki inicjatywie i zaradności naszej „orbisowskiej" opiekunki.

Nie każdy chyba wie, że słowo bazar oznacza w języku tureckim wtorek, to jest dzień uznany za najbardziej pomyślny do zawierania wszelkiego rodzaju transakcji handlowych. W naszym konkretnym przypadku fakt ten nie wydaje się mieć żadnego większego znaczenia, ze względu na wysokość otrzymanego kieszonkowego (2 dolary USA), ale i tym razem praktyka zwyciężyła teorię. Sam bazar stanowi coś w rodzaju odrębnego miasteczka, którego uliczki i alejki pokrywa dach. Skoncentrowano tu ponad 6 000 sklepów różnych branż, w tym 360 sklepów jubilerskich. Tajemnicę koncepcji grupowania obok siebie tak znacznej liczby sklepów, sprzedających te same towary, może wyjaśnić tylko jakiś wybitny handlowiec. Transakcje odbywają się w sklepach i na ulicy. Człowiek przyzwyczajony do sztywnych, państwowych cen zatraca poczucie rzeczywistości. Tu handel nie stanowi tylko pracy, jest rytuałem, misterium, które wypada celebrować. Pierwsze pytanie, jakie kieruje kupiec pod adresem potencjalnego klienta, dotyczy jego narodowości. Amerykanin jest z miejsca honorowany 100-procentową podwyżką wstępnej ceny, zaś Polacy i Włosi traktowani są z szacunkiem, jak ludzie, którzy nie mają pieniędzy do wyrzucenia. Wśród masy towarów przeważa rękodzielnictwo pamiątkarskie, obuwie i inne wyroby ze skóry. Ceny zakupu, zwłaszcza towarów importowanych ze Stanów Zjednoczonych lub krajów zachodnioeuropejskich, wysokie, chyba nawet wyższe niż w naszych rodzimych sklepach PKO. Za to pełna swoboda w operowaniu obcą walutą, jak również wszelkiego rodzaju towarem wymiennym. Papierosy amerykańskie i bułgarskie stanowią wręcz walutę obiegową. Przekonała się o tym jedna z naszych turystek, która za swoje kieszonkowe, kilka paczek bułgarskich „BT" oraz żelazko elektryczne „made in Poland" nabyła taniutki złoty pierścionek w nobliwie prezentującym się sklepie. Nie należy jej się dziwić, sklepy jubilerskie na bazarze mają jakiś magnetyczny urok. Nagromadzenie niesamowitej zgoła ilości złotych wyrobów, odpowiednio oświetlonych, przypomina baśniowy sezam.

Zapadający na bazarze zmrok jest sygnałem do odwrotu. Małymi grupkami opuszczamy bazar. Do nadbrzeża, przy którym przycumowany jest „Ko-

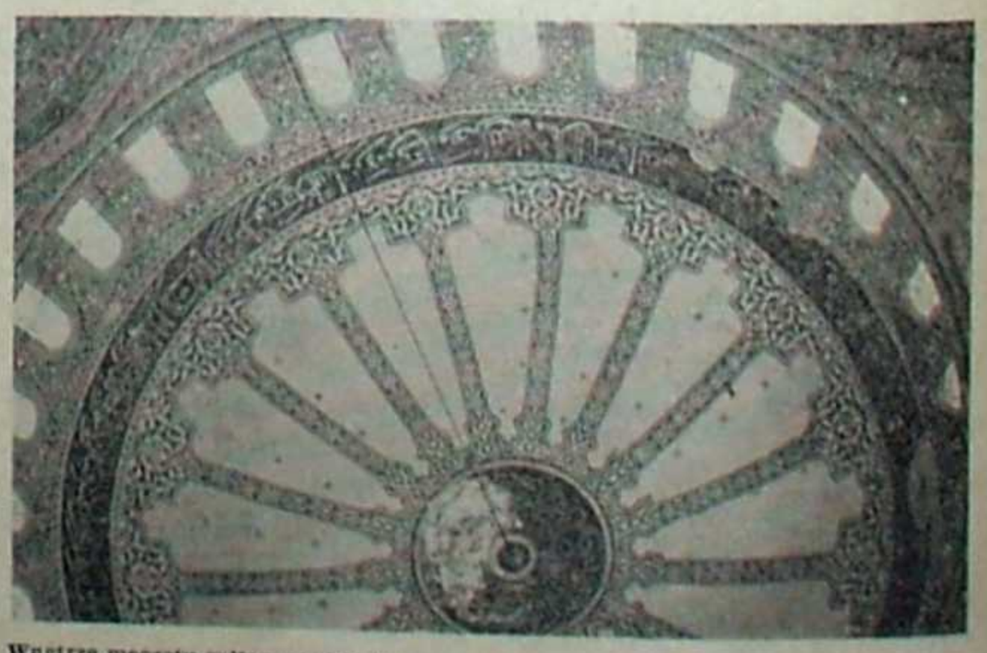

Wnętrze meczetu sułtana Achmeda

Zdjęcie autora

Kamena str. 6

Bukaresztańskie zapiski

ŁAŻENIE PO STOLICY

Ireneusz J. Kamiński

BUKARESZT liczy 1 500 000 mieszkańców, cała Rumunia 20 milionów. Miasto jest rozległe, przejazd trolejbusem z portu lotniczego Baneasa do centrum pochłania 40 minut — trasą szeroką, wygodną, prostą jak strzelił. Architektura stolicy to nie pozbawiony uroku poligamiczny mariaż budownictwa z XVII, XVIII, lecz przede wszystkim z XIX i XX wieków. Pejzaż narodowościowy również daleki od monotonii: obok Rumunów — Węgrzy, trochę Niemców, no i Cyganie. W takim mieście być tydzień, to za mało na pogłębioną obserwację i refleksję reporterską. Ale drobne, codzienne wrażenia, odkrycia, rozmowy i zaskoczenia, utrwalone w notatniku, teraz, kiedy je odczytuję po raz któryś z rzędu, jeśli nie układają się w panoramę wiedzy o życiu rumuńskiej stolicy, to przecież sygnalizują pewne sprawy i sprawki, bywa, że u nas nie spotykane, a czasami wręcz egzotyczne. A z Warszawy do Bukaresztu leci się zaledwie dwie godziny.

* * *

Czterosilnikowy turbośmigłowiec IŁ—18 łagodnie odrywa się od pasów startowych międzynarodowego Okęcia. Coraz bardziej maleje budynek nowego portu, cały w błyskach szkła i aluminium, komfortowy, że aż onieśmiela, kiedy po raz pierwszy wchodzi się w jego przestronne pomieszczenia. Do europejskiego poziomu dostosowuje się też pani toaletowa — jak ją nazwać inaczej? — która z cichym słowem wdzięczności przyjmuje od podróżnego znalezione przezeń 10 centimów francuskich, bo ten polską walutą już nie dysponuje.

Lecimy na wysokości 7 tys. metrów. Nudno. Jedyną rozrywką lektura „Sztandaru Młodych", podsuniętego przez stewardessę, w którym lakoniczna notatka o przedwczorajszej katastrofie lotniczej: kilku zabitych, sporo rannych. Statystycznie rzecz biorąc, nasz samolot powinien szczęśliwie dolecieć do celu. Zaokienną ciemność rozjaśniają czerwone smugi z dysz wylotowych.

Po dwóch godzinach samolot traci wysokość, widać już równoległe sznury świateł Bukaresztu... Lekki wstrząs, kilkaset metrów kołowania po płycie lotniska, milknący warkot silników. Do trapu podjeżdżają autobusy rumuńskich linii lotniczych „Tarom". Raptem 30 metrów jazdy i wraz z innymi pasażerami polskiego samolotu wysiadam przed budynkiem Baneasy. Po krótkich formalnościach paszportowych wchodzę do niewielkiej sali, przypominającej poczekalnię dworca kolejowego w Przemyślu, gdzie czeka mnie odprawa celna.

Dwie godziny temu, w Warszawie, temperatura nie przekraczała 15—18 stopni, tutaj zbliża się do 25. Mam na sobie dżinsy, wełniany golf i wełnianą marynarkę. W dłoni parasol.

Obsługa portu bez znaków szczególnych w umundurowaniu, niełatwo odróżnić tragarzy od celników, a nawet cywilów od funkcjonariuszy. Głośno tu, a w powietrzu jakiś drażniący zapaszek, kojarzący się z czosnkiem. Przez głośnik wywołują co chwila polskie nazwiska, jakieś młode panie o ciemnych oczach, z kwiatami w dłoni, dyskretnie indagują podróżnych: „Czy pan Kowalski z muzeum sztuki ludowej?" Jeden z panów odpowiada: „Bardzo mi przykro. Jeż jestem, z Metalimportu".

I tak dalej, i dość często.

Są już bagaże. Szukam swojej torby, w której i lżejszy przyodziewek, i szczoteczka do zębów, aparat fotograficzny i elektryczna maszynka do golenia, notatniki — słowem to wszystko, co nieodzowne do hotelowej wegetacji i dziennikarskiej roboty. Szukam w pocie czoła, z parasolem w dłoni. Nie ma. Lekki niepokój przeradza się w coś mocniejszego, kiedy okazuje się, że wszystkie bagaże z polskiego samolotu stoją już na długich ławkach.

— Nie wszystkie, towarzyszu — mówię po rosyjsku do celnika — bo mojego nie ma.

Nie wierzy, wzrusza ramionami, ale po chwili donośnym okrzykiem przywołuje dziewczę w białej bluzce i coś jej tłumaczy, wskazując grubym paluchem w moim kierunku. A ja, w tym przeklętym golfie, pocę się z gorąca i strachu. Całe szczęście, że przed odprawą celną na Okęciu wyjąłem z torby wszystkie dokumenty oraz dewizy, wypełniając nimi kieszenie wełnianej marynarki.

Dziewczę, sympatyczne i urodziwe, zasięga języka u tragarzy, ale nikt nic nie wie. Bagaż przepadł i koniec. Wiedzie więc dziewczę dziennikarza do okrągłego hallu, gdzie biura i sklepiki przeróżne z suwenirami a'la nasza „cepelia". No i ten ostry zapaszek, tyle że mocniejszy, wydymający niemal kopułę budynku. Przy okienku reklamacji stoi już jakiś towarzysz niedoli — chudzina, w krótkich i pomarszczonych spodniach, sympatyczna twarz, może czterdziestolatka — stoi i tłumaczy młodej, bardzo młodej urzędniczce okoliczności, w jakich stracił walizkę, lecąc z Leningradu via Warszawa. On mówi po angielsku, ona po rumuńsku, co chwila łapiąc się za głowę. Radości co niemiara. Ale jakoś dobrnęli do końca i australijski fizyk, który przyleciał do Bukaresztu na międzynarodową sesję naukową, co zrozumiałem z jego monologu, położył swój podpis pod protokółem. Teraz na mnie kolej.

Pozdrawiam po rosyjsku. Dziewczę w okienku nie wytrzymuje i krzyczy przez salę: Margaret! Jakby wołała: „Na pomoc, pierwszy po angielsku, drugi po rosyjsku, ja oszaleję z tymi cudzoziemcami!" Właścicielka imienia podchodzi niespiesznie do okienka. Tak, ona zna rosyjski. Zaczynamy wypełniać formularz.

* * *

Po godzinie 22 stoję przed portem lotniczym. Mój parasol i ciepły ubiór wzbudzają niekłamane zainteresowanie młodzieży płci męskiej, która wyszła właśnie z restauracji. Do śródmieścia kawał drogi, a taksówek nie ma. Pytam kogoś o drogę do hotelu. Wyjaśnia uprzejmie i cierpliwie: trzeba jechać trolejbusem na ulicę Magheru, gdzie znajduje się rumuńskie biuro turystyki — Office National du Tourisme. Tam wskażą mi hotel.

Kilkadziesiąt już minut jadę, spocony, z nieszczęsnym parasolem w dłoni. W ostrym świetle lamp ulicznych rysują się tablice z cyfrą „25" — Rumuńska Republika Ludowa obchodzi ćwierćwiecze powstania. Mijam coś na kształt warszawskiego Pałacu Kultury i Nauki, tyle że w innej skali; budowla jest niższa, lecz szersza i dłuższa. To, jak się później dowiedziałem, bukaresztańskie zakłady poligraficzne. Nieco dalej następny kolos: łuk triumfalny, niepodzielnie panujący nad rozległym placem, okolonym zielenią. Jeszcze kilkaset metrów i w górę strzela obelisk pomnika lotników, zwieńczony uskrzydloną postacią. Mocne uderzenia, jedno za drugim, z rozmysłem dawkowane na trasie dworzec lotniczy — śródmieście. Już na samym progu Bukareszt chce przekonać cudzoziemca o swojej wielkości i krzepie.

Centrum stolicy. Do północy jeszcze godzina, na ulicy ruch już zamiera, tylko restauracyjne ogródki pełne ludzkiego gwaru. Nadal gorąco. Gmach ONT jaśnieje witrynami parteru, reszta ciemna i głucha. Pcham ciężkie, oszklone drzwi.

Jedna z dwu siedzących za biurkami urzędniczek nie chce w ogóle rozmawiać, bo właśnie skończyła pracę, a poza tym miejsc w hotelach nie ma. Jej koleżanka jest uprzejmiejsza, słucha uważnie, po czym proponuje kwaterę prywatną.

— Dżina was zaprowadzi — pokazuje wzrokiem siedzącą na uboczu kobietę.

Ściskam mocniej parasol w dłoni i daję się wieść na ową kwaterę. Dżina zna nieco rosyjski i kilka słów polskich. Była kiedyś w Inowrocławiu, co zapadło jej w pamięci nazwiskiem niejakiego Józefa Lewandowskiego. Niestety, nie znam Józefa Lewandowskiego z Inowrocławia, więc nie mamy o czym rozmawiać.

Jesteśmy na miejscu. Pokój duży i czysty, na ścianie oprawione w ramkę zdjęcia jakiejś aktorki, wycięte z czasopisma, w rogu koło okna naga kobieta z brązu, koronowana kloszem z żarówką. Gospodyni, na oko lat pięćdziesiąt, prosi o paszport, a w tym momencie z sąsiedniego pokoju wyłania się mężczyzna w niedbale narzuconym szlafroku. To drugi gość pani B., zajmujący sąsiedni pokój Anglik na delegacji, znajomy Dżiny, który pyta ją o adres jakiejś bukaresztańskiej centrali handlu zagranicznego.

Nareszcie sam — po gościnnej kolacji złożonej z jajka w szklance ze skorupkami, zaprawionego kieliszkiem 30-procentowej wódki, której już nigdy do ust nie wezmę, jako żem w innym klimacie i obyczaju wychowany. Wyciągam rękę, aby zgasić lampkę, kiedy wzrok pada na dwie fotografie. Na jednej, z lekka brązowej, podstarzałej, młody mężczyzna w uniformie królewskiej armii rumuńskiej. Na drugiej ten sam człowiek, ale nieco starszy i w mundurze obecnej armii.

* * *

Na drugi dzień rano płacę pani B. 80 lei za nocleg, puszczając mimo uszu propozycję małej operacji finansowej, która w wypadku realizacji mogłaby wzbogacić gospodynię o 20 lei i o tyle samo zubożyć mój stan posiadania.

Odnalazłem w końcu biuro organizacyjne międzynarodowego festiwalu folkloru — jeden z celów mej bukaresztańskiej podróży — co poskutkowało otrzymaniem pokoju w monumentalnym hotelu „Ambasador", w samym centrum miasta. Przy pokoju jest łazienka, ale nie ma w niej mydła. Jest telefon, ale nie ma radia. Ściany puste, bez żadnego obrazka, czy jakiejś innej dekoracji. Płacę za dobę 135 lei, czyli 243 złote.

Rozgościłem się w apartamencie, umieszczając parasol w głębokiej szafie. Na termometrze 30 stopni, więc kąpiel. Po kilku godzinach, o 4 po południu, kiedy upał zelżał, pierwszy spacer po mieście.

Dopiero w dziennym świetle widać rozmach i... kontrasty Bukaresztu. Z nowoczesną myślą architektoniczną skontaktował się w dwudziestoleciu międzywojennym. Wówczas to powstały ogromne bloki mieszkalne o niewielkich (słońce!) i wydłużonych oknach, których górne piętra cofają się uskokami w głąb, przypominając w tych partiach babilońskie zikuraty. Są to gmachy potężne i monumentalne w wyrazie. Ta ostatnia cecha ujawnia się również w urbanistyce miasta, opartej na założeniach osiowych, akcentowanych pomnikami lub rozległymi placami. Wizualny charakter Bukaresztu określa jednak architektura secesyjna, niezwykle ozdobna, kapryśna w liniach, a nierzadko eklektyczna.

Ale te wszystkie wielkie budowle, usytuowane przy głównych ulicach i placach, kryją, niczym parawany, niskie, a nierzadko i obskurne domki, ściśnięte w bocznych uliczkach. Wystarczy zejść z ulicy Balcescu — przy niej stoją co lepsze hotele, takie, jak „Ambasador" czy „Lido" — i zagłębić się w uliczkę Maria Rosetti, dojść nią do ul. Galati, aby znaleźć się nieoczekiwanie w powiatowej, nieco orientalnej scenerii. „Kocie łby" jezdni, wąskie chodniki, dekoracyjne elementy wschodniej architektury na domkach, miniaturowe ogródki, w których znalazłoby się jednak miejsce dla drobiu czy kóz — oto Bukareszt od tyłu. Zaraz przecież za tą drugą czy trzecią strefą starej zabudowy rosną nowe i rzeczywiście imponujące swoim rozmachem dzielnice mieszkaniowe. Oglądałem smukłe, wysokie domy przy ul. Soseaua Colentina — z zewnątrz i wewnątrz. Pozazdrościć możemy rumuńskim lokatorom takiego wykończenia mieszkań!

W sumie jest Bukareszt miastem niezwykle malowniczym, może właśnie przez ową różnorodność stylistyczną architektury, zanurzonej w zieleni koncentrującej się w rozległych parkach. Do tej malowniczości przyjdzie jeszcze powrócić, tymczasem pora na obiad.

Restauracji, barów, kawiarni wszelkich mnóstwo takie, że ze znalezieniem wolnego stolika nie ma najmniejszych kłopotów. Trafiam do restauracji rybnej, z ogródkiem wychodzącym na trotuar i otoczonym linami, na których koła ratunkowe. Kelnerzy w stylizowanych marynarskich mundurach. Podają menu. Patrzę w gęstwinę rumuńskich nazw i jeno „Rizling" pojmuję. Proszę o pomoc siedzącego przy sąsiednim stoliku młodego mężczyznę. Pomaga, jak może. Zapraszam Rumuna do stolika. Jemy popijając owym „Rizlingiem".

Okazuje się, że jest inżynierem — elektrykiem w wielkiej fabryce generatorów. Przygotowuje się do doktoratu. Nieźle włada rosyjskim, więc rozmawiamy swobodnie. W pewnej chwili wskazuję na przejeżdżające obok autobusy i pytam o rumuńską nazwę wytwórni. Przecząco kręci głową.

— Nie, to nie rumuńskie. To izraelskie, na licencji Leylanda.

Po drugiej stronie ulicy robotnicy wznoszą wielki gmach żelbetowy na planie czworoboku, o ramionach łukowato wciśniętych do środka.

— To amerykański „Hilton" buduje hotel.

Restauracyjny ogródek mijają grupki cudzoziemców. Barwnie na ogół ubranych, czym wyróżniają się od tubylców, którzy gustują w ciemnych kolorach. Najczęściej dobiegają do nas strzępy słów francuskich, niemieckich i angielskich. Turyści, przemysłowcy, handlowcy i bóg raczy wiedzieć, kto jeszcze. Czują się pewnie, swobodnie.

— Jakie maszyny pracują w waszej fabryce, inżynierze?

— Na ogół zachodnioniemieckie i francuskie.

Kilka metrów od koła ratunkowego rozłożył się ze swoim skromnym majdanem uliczny sprzedawca losów loterii pieniężnej. Sto metrów dalej — następny... Całe miasto upstrzone jest stoliczkami ze zwitkami papieru, z których los może się uśmiechnąć. Za jedne 3 leje, zainwestowane w ryzyko, 1 200 można otrzymać. Albo nic. Ale jak się wygra, to i paczkę „Kentów" nabyć łacno — za zachętą wielkiej reklamy, oto, choćby tej, która pół ściany sąsiedniego gmachu zajmuje głosząc, że jakość tych angielskich papierosów sprawdzona w świecie.

Pijemy „Rizling" i gawędzimy z inżynierem swobodnie. O zarobkach, o samochodach „Renault", produkowanych przez Rumunów na licencji francuskiej. Inżynier daje mi swój adres i numer telefonu.

Drugi dzień bukaresztański dobiega końca. Wracam do hotelu, w jego europejskie splendory, ale samo miasto wieczorem przypomina mi raczej naszą poczciwą stolicę. Tzw. życie zamiera, zamykają knajpy — przynajmniej te dostępne mojej „dewizowej" kieszeni. Mogę więc bez pokus i nobliwie spędzić noc w hotelowym apartamencie.

Panorama Bukaresztu (Fot. CAF)

larov", około 5 kilometrów. Trasę tę decydujemy się przebyć pieszo. Dopiero teraz miasto wchłania nas z całą bezwzględnością. Obrazki ze stambulskiej ulicy nie mają odpowiednika chyba w żadnym z miast europejskich. Brak oznakowania przejść dla pieszych i jakichkolwiek innych znaków drogowych, przy sunących w czterech kolumnach pojazdach, czyni przejście na drugą stronę ulicy przedsięwzięciem ryzykownym. Na szczęście masa pojazdów sprawia, że ich szybkość waha się w granicach od 20 do 30 km/godz. Ruch na jezdni odbywa się na zasadzie, że każdy jedzie czym może, jak może i gdzie tylko może. Obok wspaniałych amerykańskich krążowników szos, załadowanych do granic możliwości, z otwartymi klapami bagażników, suną zgodnie stare, przedpotopowe wraki, pozbawione świetlnej sygnalizacji. Chyba co drugi samochód nosi widoczne ślady kolizji drogowej. Bezpośrednio na chodniku stoi, wsparty na podnośnikach, zdezelowany „Ford", a wokół niego uwija się kilku umorusanych ludzi z młotkami w dłoniach, nie zwracających najmniejszej uwagi na przechodniów. Samochód ciężarowy, który dowozi towar do sklepu, wjeżdża wprost na chodnik tarasując całkowicie przejście dla pieszych, a nikt specjalnie nie śpieszy się z jego wyładunkiem. I mimo tego całego bałaganu liczba wypadków z ludźmi jest podobno nieznaczna.

Z mostu nad zatoką rozciąga się przepiękna panorama Złotego Rogu. Teraz dopiero widać, że zwiedziliśmy zaledwie mały fragment tego imponującego miasta. Na moście niesamowicie oberwany człowiek, zgięty w pół, o przerażającym wyrazie twarzy, niesie na plecach cały stos wypchanych worków. Inny sprzedaje małe rybki, wyłowione przed chwilą wprost z morza, i zwykłą wodę na szklanki. Kupujemy gazetę od małego chłopczyka, który zamiast dłoni ma ledwo zrośnięte kikuty. A tuż obok spacerują bogato ubrani ludzie, przejeżdżają wytworne limuzyny. Skrajna nędza i bogactwo. Wszystko to skłania do porównań i refleksji. Jak daleko poszliśmy naprzód!

Z pokładu statku, w oczekiwaniu na odjazd, obserwujemy Stambuł w powodzi świateł. Za nami męczący dzień pełen niezapomnianych, mocnych przeżyć, a jednak nikt nie myśli o spaniu. Przez cieśninę raz po raz przepływa jakiś statek. Nagle poruszenie. W oddali pojawia się jakiś biały kolos pasażerski: majestatyczny, rzęsiście oświetlony. Kiedy przepływa obok naszego maleńkiego „Kolarova", widzimy go w całej okazałości. Na maszcie łopocze czerwona flaga z sierpem i młotem. To radziecki transatlantyk z Odessy — „Taras Szewczenko".

Kamena str. 7

Dwie wybitne premiery lubelskie

Maria Bechczyc-Rudnicka

MUSZĘ wyznać na wstępie, że w „tamtych dniach" jestem zaangażowana emocjonalnie. Żyłam atmosferą „stołecznego Lublina", ocierałam się o prototypy postaci pokazanych przez Jurandota i Grodzieńską. Widz tej kategorii jest chyba najwdzięczniejszym widzem ich „Ballady". Ale na pewno nie najważniejszym. Najważniejszy jest ten, który nie zna „tamtych dni" z autopsji. To jemu trzeba przekazać ich żywą prawdę tak, by w nią uwierzył, on — sceptyk, wychowanek skomplikowanych koniunktur, czytelnik czarnej literatury, niecierpliwy obserwator rzeczywistości, zanudzany w pewnych momentach drętwą mową.

Otóż wydaje mi się, że autorzy „Ballady o tamtych dniach" zdołają jednak zdobyć tego przekornego widza. A dopną tego nie tylko dzięki szczerym talentom komediopisarskim, lecz przede wszystkim dzięki nie mniej szczeremu przekonaniu, z jakim tworzyli swoją sztukę.

Sami przecie byli obywatelami „stołecznego Lublina", owymi entuzjastami, pionierami, działającymi w klimacie koleżeństwa, dobrej wiary, dobrej woli. Dlatego też myślę, że „Ballada o tamtych dniach" będzie kiedyś — już jest — najlepszą komedią historyczną o jedynym w swoim rodzaju, niepowtarzalnym, z niczym nieporównalnym półroczu „lubelskiej młodości" Polski.

Jest historyczna, a zarazem aktualna, bo stawia przed oczy wzory bezinteresownego, żarliwego działania społecznego, pokazuje jego realność, możliwość w najtrudniejszych momentach dziejowych, w warunkach ruiny gospodarczej, wyniszczenia kraju, indywidualnego zabiedzenia.

To istotnie ballada patetyczna w najlepszym słowa znaczeniu i jednocześnie żartobliwa, z tym że jej żart staje się nawet jakby dodatkowym elementem wzruszenia, eksponując właśnie niedostatki warunków, w których się dokonywało wielkich dzieł, ot tak bez wielkich gestów, ze szlachetną prostotą.

Autorom „Ballady" udało się połączyć intymność swojskiej, ciepłej sztuki kameralnej z szerokim i głębokim nurtem przejmującego autentyzmu momentu dziejowego. Sprzyjała udanej fakturze utworu ta okoliczność, że Stefania Grodzieńska była związana z rozgłośnią Polskiego Radia od momentu jej uruchomienia w „stołecznym Lublinie". Trudno sobie wyobrazić bardziej szczęśliwe zlokalizowanie trzonu akcji, niż umieszczenie go w studiu radio- dostarczyć znakomitego spoidła dla poszczególnych scen.

W spektaklu Teatru im. J. Osterwy ten naturalny łącznik nie został należycie wykorzystany, wprowadzono nie przewidziane przez autorów obfite projekcje filmów archiwalnych, które (choć same w sobie interesujące) miast spajać — rozbijają całość, będąc tworzywem obcym materii teatralnej, niestety dziś w teatrach nadużywanym.

Proceder ten nadał scenom komediowym pozory skeczy, którymi nie są, jako pozbawione specyficznej puenty skeczowej, posiadające zaś właściwą komediom ciągłość tematyczną.

A przecież dla poszerzenia planu akcji wystarczyło nawiązywanie od treści scen do podanych w egzemplarzu piosenek ze świetnymi tekstami Jerzego Jurandota i „semisongową", że tak powiem, muzyką Jerzego Wasowskiego.

Zastanawiam się też, czy przeniesienie na środek widowni scen migawkowych („vox populi" pod megafonem) sprzyjało jedności spektaklu. Co leniwsi widzowie nie mieli ochoty wykręcać sobie szyi, zresztą migracje aktorów przez salę są chwytem reżyserskim ogranym od dziesięcioleci.

Natomiast współpraca reżysera Kazimierza Brauna z aktorami nad ustawieniem ról dała pierwszorzędne wyniki. Wszyscy — nie tylko aktorzy doświadczeni, ale i młodzież aktorska — stworzyli żywe, prawdziwe postacie.

Aleksander Aleksy — intrygującą figurę Pełnomocnika, przedwojennego prokuratora, Eleonora Ossowska — pełną troski, wiary i nadziei matkę jednego z walczących Kowalskich, Zofia Stefańska rzec można ogrzała serdecznym ciepłem nieduży epizod Kurierki z powstania warszawskiego, Krystyn Wójcik budził sympatię nie-dygnitarską bezpośredniością (na to, by niektórzy dygnitarze „mieli muchy w nosie, trzeba poczekać ładnych parę lat, aż nasza młoda władza okrzepnie"). Na długo zostanie w pamięci Mama, chłopka, Stefanii Cybulskiej, jako żywe potwierdzenie najwspanialszego zdania sztuki: „Jest dużo ludzi wśród ludzi". Nie mniej wzrusza wypowiadający ten fenomenalny aforyzm Ksiądz (Ludwik Paczyński), recte Maurycy Goldman, tropiony przez esesmanów, beznadziejnie poszukujący rodziny. Albo jeszcze jeden „interesant" Skrzynki Poszukiwania — Michał Dębicki, student medycyny, którego gra z subtelnym przejęciem Zbigniew Szczapiński (jakże pięknie brzmi w jego wykonaniu pieśń „Żołnierzu — panienko"!).

Nie uronili nic z potężnego ładunku humoru zawartego w powierzonych im postaciach — Barbara Wronowska (panna z dobrego domu) i Kazimierz Siedlecki (Zygmunt, radiotechnik, syn chłopski), który nadaje przekomiczne intonacje swemu polsko-rosyjskiemu volapükowi. Dobrą robotą aktorską wykazał się też Tadeusz Kuduk w roli wyspecjalizowanego już spikera, byłego partyzanta, Jacka, i Krzysztof Gordon jako spiker początkujący Kuba, wychowanek niemieckiego domu dziecka i obozu koncentracyjnego, nastolatek nieco prędki, ale z gruntu dobra natura. A już na pewno podziwu godne jest osiągnięcie Ewy Kani, absolwentki warszawskiej Wyższej Szkoły Teatralnej, której spikerka Krystyna (właściwie główny motor akcji) jest debiutem scenicznym. Dzielna, szlachetna, skromna — oto jak można scharakteryzować w telegraficznym skrócie postać stworzoną przez Kanię.

S. Grodzieńska i J. Jurandot — Ballada o tamtych dniach. Krystyn Wójcik (Minister), Jerzy Krasuń (Porucznik I Armii WP) i Ewa Kania (spikerka Krystyna). Foto: W. Parys

Należy też wspomnieć dobrym słowem o postaciach: Porucznika I Armii WP (Jerzy Krasuń), Kobiety I, zabawnej plotkarki (Maria Szczechowna), Kobiety II (Elżbieta Jagielska), nobliwego Starszego Pana (Roman Kruczkowski), Młodego człowieka (Edwin Petrykat), Chłopca w mundurze — Piotr Grabowski (z werwą wykonana piosenka marszowa „Jeszcze tylko ciut").

A propos piosenek — jedna uwaga nawiasem: wydaje się, że wstrząsająca „Saga rodu Kowalskich" zyskałaby dużo, gdyby ją potraktowano, zgodnie z intencją autorów, jako apel poległych.

Koncepcja scenograficzna Jerzego Toreńczyka, funkcjonalna, w sensie artystycznym — poszła po linii najmniejszego oporu.

I jednak, cokolwiek by się zarzuciło temu przedstawieniu, przenosi ono w klimat „stołecznego Lublina", wzrusza i wywołuje raz po raz serdeczny uśmiech, za co podziękujmy autorom, aktorom i kierownikowi artystycznemu teatru Kazimierzowi Braunowi.

*

Przyjemnie jest stwierdzić, że Państwowa Operetka w Lublinie, pod dyrekcją Andrzeja Chmielarczyka i kierownictwem artystycznym Aleksandra Bryka, sięgnęła po pozycję, która bardzo podnosi jej rangę. Chciałoby się poświęcić temu wydarzeniu znacznie więcej miejsca, niż na to pozwala „przepustowość" dwutygodnika, ale ostatecznie „Kram z piosenkami" nie wymaga ani rekomendacji, ani komentarza, jako szeroko znany ze scen i z ekranu telewizji najlepszy montaż wokalno-taneczny Leona Schillera, niezrównane arcydzieło w zakresie swego genre'u. Zresztą Czytelnik, który był już, bądź niewątpliwie będzie — widzem lubelskiego spektaklu, znajdzie potrzebny zestaw komentarzy w solidnie opracowanym programie. Przejdźmy więc od razu do wykonania.

No cóż, można powiedzieć po staropolsku, że Operetka „postawiła się" i pod tym względem (mam nadzieję, iż pierwsza część porzekadła nie obciąży kierownictwa). Przede wszystkim nader szczęśliwym pomysłem było powierzenie reżyserii i choreografii widowiska Barbarze Fijewskiej, która współpracowała z Schillerem jako choreograf. Głoszenie pochwały talentu Fijewskiej, jej doświadczenia i subtelnego smaku równałoby się także z wygłaszaniem truizmów — wystarczy, gdy powiem, że realizując „Kram z piosenkami" na lubelskiej scenie muzycznej wybitna artystka potraktowała dzieło Wielkiego Inscenizatora z należnym pietyzmem, a nie wyrzekła się wszakże własnej inwencji tam, gdzie dowolność jest pożądana.

Niemały udział w sukcesie ma również scenograf, Łucja Kossakowska, której dekoracje i kostiumy są prześliczne. Należy też odnotować rzetelne opracowanie muzyczne Ryszarda Komorowskiego i pracę nad chórem — Tadeusza Chyły.

Wszystkie elementy widowiska są wyjątkowo udatnie zharmonizowane. Rozwija się ono we wdzięcznym rytmie tanecznym, nadspodziewanie atrakcyjne zespołowo, bez kabotyńskich gierek, bez niewspółmiernych solowych popisów wokalnych w przestarzałym stylu operetkowym.

Wydaje się, iż dzieło to audio-wizualne winno posłużyć za wzór na przyszłość i dobrze się stało, że wystawiono „Kram z piosenkami" właśnie w teatrze muzycznym, gdzie śpiew i taniec nie zalatują amatorszczyzną.

Może nieco nikłej wypadły odsłony „Poddasze" i „Przedmieście", które wymagają aktorstwa dramatycznego. Mimo woli przypomina się „Królowa przedmieścia" w inscenizacji Jerzego Ukleji. A bo też mieliśmy wtedy w Teatrze Osterwy Mikulskiego, Machulskiego i Teresę Mikołajczuk. Ale w każdym bądź razie „Walczyk katarynkowy" w wykonaniu Haliny Kazimierowskiej (aktorki dramatycznej!) wzrusza, a Ewa Kobylarz jest świetna w „Rydzu".

Co do udatnych inscenizacji poszczególnych pozycji w odsłonach „Skotopaski nadwiślańskie", „Kłopot z żołnierzami" i „Parafiańszczyzna", to właściwie trzeba by było przepisać cały program. Niechże wymienię chociaż kilka ich zalet.

A więc — naiwny wdzięk ożywionych figurek porcelanowych z „Zosi w ogródku", przedni humor „Tycluteńkiego" (Kazimierowska, Ryszard Karpiński, Krzysztof Krukowiecki), dowcip i gracja ewolucji tanecznych „Bandurki" (Nina Majerska i trzech odpalonych konkurentów — Jerzy Ambroziak, Marian Josicz, Ryszard Nowiszewski), przezabawne sytuacje i awangardowo pomyślany przemarsz dziarskich żołnierzy (z Josiczem i Zbigniewem Dobkiewiczem na czele) przez „buduar" zalotnej damy (Ewa Tabaczewska)... Bardzo się podoba Wanda Mikulska w „Małgorzatce", Bronikowska w „Dames de Varsovie", cały ansambl wykonujący pikantnie frywolną piosenkę „Kot, kot". W „Odzie do dzieweczek" kapitalny jest „niezgrabny" Pan Artur z cwikierem — Tadeusz Sosnowski, wykazujący się też dobrym warsztatem aktorskim w „Emulacji", rozegranej z Ewą Tabaczewską. I wręcz koncertowy duet mimiczny stanowią w „Kłótni" Xenia Grey z Henrykiem Łabuńskim.

Słowem — brawo i „pourvu que cela dure", jak mawiała przy powodzeniach pewna postać historyczna.

„Będę naśladować dzieło śmierci"

Witkacy

Tadeusz Witkiewicz

TO wszystko, co w konsekwencji spowodowało ów tragiczny dzień w życiu Stanisława Ignacego Witkiewicza, mięło 30 lat temu — 18 września 1939 roku. Ale zanim data ta weszła do kalendarza literatury, był jeszcze dzień 5 września. Początek niedoli tułaczej Witkacego, opuszczającego stolicę wraz z narzeczoną, Czesławą Korzeniowską. Jechali pociągiem ewakuacyjnym relacji: Warszawa—Brześć. W Brześciu zanocowali w hotelu. Tutaj Witkacy przeżył pierwszy nalot bombowców niemieckich, w wyniku którego miasto uległo poważnym zniszczeniom. Pobliskie detonacje pogorszyły słuch Stanisława do tego stopnia, że trzeba było do niego krzyczeć. Narastająca trudność porozumiewania się wywołała u niego depresję i desperackie przeświadczenie: „Nie jestem już nikomu potrzebny!" Twarz nabrała wyrazu jak u człowieka, który nie jest w stanie dać silnej, zdecydowanej odprawy przewidywaniom przyszłości, nic zresztą pomyślnego nie wróżącej. Był przecież chory na serce. W dodatku nogi miał niezbyt wprawione do długich marszów, prowadzących nie zawsze równą drogą, w czasie upału, kiedy się musi wytrzymać trud noszenia ciężkiego plecaka z najpotrzebniejszymi rzeczami na co dzień, z niezbędną żywnością. Toteż nie miał wobec siebie złudzeń.

Z Brześcia wyszli piechotą, lecz po kilkunastu kilometrach zaczął narzekać na zmęczenie. Kiedy nie mógł iść, wsiadali na przygodne furki, czynili długie postoje w stodołach chłopskich. We wsi Jeziory, 20 km od Dąbrowicy, Witkacy zatrzymał się. Z tyłu nadciągali Niemcy. Nie było już dokąd uciekać. Przez godzinę nie odezwał się słowem do narzeczonej, żując w ustach twardy razowiec.

* * *

Ostatnie chwile tak relacjonuje w pamiętniku jego ówczesna narzeczona:

„18 września, rano, po śniadaniu. Godzina ósma. Poszliśmy do lasu. Usiedliśmy pod dębem. Stasiu zaczął zażywać pastylki efedryny.

— Po co to bierzesz? — zapytałam.

— Bo krew będzie żywiej krążyć, szybciej ze mnie wyjdzie — odpowiedział Staś, mający sobie podciąć żyły...

Rozpuścił w garnuszku 18 pastylek luminalu i 2 pastylki cybalginy. Wypiliśmy o godzinie jedenastej z minutami. Potem pożegnaliśmy się... Zaczął ciąć brzytwą rękę...

Obudziłam się w nocy. Miałam torsje. Stasia obok nie było... Znów zasnęłam. Gdy obudziłam się ponownie, był już ranek. Pod głową miałam marynarkę, którą musiał włożyć Staś. Leżał obok na wznak, z podkuloną lewą nogą, ręce miał zgięte w łokciach i odchylone w górę. Oczy i usta otwarte... W twarzy była ulga. Odprężenie po wielkim zmęczeniu. Zaczęłam krzyczeć. Coś mówić do Stasia. Chciałam go grzebać, rękami zgarniając nań ziemię. Wodą z kubka od luminalu umyłam mu twarz i okryłam ją paprociami... Znów mi się zrobiło słabo..."

Następnego dnia, we wtorek 19 września, przyjaciele Witkacego, państwo Garbusińscy, wszczęli poszukiwania. Czesławę Korzeniowską znaleziono w stanie dużego wyczerpania, nieprzytomną. Witkiewicza pochowano na starym, prawosławnym cmentarzu w trumnie z prostych desek, dając mu za towarzysza jego nieodłączny kij. Mogiłę pokrył sosnowy krzyż z nazwiskiem zmarłego, wyskrobany raczej scyzorykiem aniżeli dłutem.

* * *

Witkacy był moim kuzynem. Stosunki w naszej rodzinie bywały napięte, ponieważ ojciec mój, Kazimierz Witkiewicz, jako były członek SDKPiL miał inną orientację ideową niż Stanisław Ignacy. W latach 1945—50 ojciec pełnił obowiązki dyrektora Muzeum Przemysłu Artystycznego. W tym okresie otrzymał polecenie od Prezydium MRN miasta Krakowa, aby oprowadzić majora Szczukina, z uniwersytetu w Moskwie, po miejscach pobytu Lenina i Dzierżyńskiego. Szczukin zapytał wówczas, od kiedy myśli o samobójstwie czy w ogóle o śmierci nurtowała Witkacego. Stanisław zdecydował się na samobójstwo, bezpośrednio motywując swój czyn honorem oficera — jak poświadcza jego była narzeczona. Ale ojciec odrzekł wtedy, posługując się cytatem z zasłyszanej autowypowiedzi Witkacego:

„Jestem to znaczy komentuję siebie jako kreację, której nigdy nie zdołam zanalizować do końca. Pozostaje mi tylko eksperymentowanie z współaktorem mego bytu — psychiką. Na nią czeka forma moich przemyśleń, a kiedyś piękna śmierć. Chciałbym przypatrzeć się sobie w czasie trwania śmierci, kiedy dochodzi do pełnej swobody w interpretowaniu czystych przeżyć estetycznych, zlanych w jedno! Wyobrażam sobie zanikanie proporcji mego ciała i pojawiające się spustoszenie w świadomości. To musi być bardzo pasjonujące. Może kiedyś będę w stanie choć przez jedną minutę naśladować dzieło śmierci..."

Słowa te wypowiedział Witkacy 10 czerwca 1904 roku.

Andrzej Wojciech Guzek

Jeszcze jeden dzień

I tak się stale pocieszasz
— to nic — to tylko jeszcze jeden
niewiele znaczący wieczór zapisany na straty.
A od jutra przecież będzie inaczej.
Wreszcie napiszesz tę prawdziwą kronikę
zobojętniałych oczu
zdasz dokładną relację
ze wszystkich udręczonych cierpieniem ust
strome opowiesz kaniony drapieżnych zmarszczek
i suche równiny odchodzących poza czułość dłoni.
To nic — powtarzasz sobie — nie żałuj.
Teraz weźmiesz się do roboty.
Na drugą stronę się przedrzesz tego wąskiego tunelu
gdzie stoi już dla ciebie otworem
ta ziemia dawno obiecana
słów własnych
łagodna tak w żyznych czarnoziemach metafor
w których zamykać będziesz
zimną chłostę kosmyków wiatru
i sny twoje
wędrujące cicho wzdłuż zakrzepłych w bezruchu ulic
porzuconego miasta.

Treść poprzednich odcinków: Jest wrzesień 1948 r. Autor wspomnień, znany lubelski adwokat, podejmuje się bronić przed sądem w Radomiu niejakiego Tadeusza G., oskarżonego o współpracę z okupantem. W toku wielu rozmów przekonuje się, że opinia o Tadeuszu G. nie jest w mieście jednolita. Obok zdecydowanych przeciwników ma on i grupę gorących zwolenników, b. partyzantów. W więzieniu dochodzi do spotkania obrońcy z oskarżonym. Tadeusz G. opowiada o pewnym dniu czerwcowym 1940 r., kiedy to przypadkowo Niemcy wzięli go z ulicy i zmusili, by towarzyszył im w charakterze tłumacza. Opinia publiczna zaczęła przypuszczać, że jest on konfidentem gestapo. Tymczasem podczas jednej z łapanek Tadeusz zostaje aresztowany i ostatecznie skazany na rok więzienia. Wychodzi na wolność i stara się o wstąpienie do partyzantki. Warunkiem jest zdobycie przez niego broni. Broń zdobywa, bierze udział w kilku brawurowych akcjach, zjednuje sobie powszechny szacunek. W czasie jednej wpadki udaje mu się ujść hitlerowcom dzięki świetnej znajomości języka niemieckiego, ale jego kolegów zabierają Niemcy i wszelki słuch o nich ginie. Następnie w toku przeprawy przez Wisłę, w której Tadeusz bierze udział, traci życie spora liczba partyzantów.

Wyruszyło na tę przeprawę dziewięćset ludzi. Przeszło rzekę około sześciuset. Ponad dwustu poległo, a kilkudziesięciu rozproszyło się i utracono z nimi łączność. Czy przeprawa odbyła się we właściwym miejscu, tego nikt nie potrafi na razie wytłumaczyć. Faktem jest, że napotkali hitlerowców w znacznie większej sile, niż przewidywano, i w tych miejscach, gdzie się ich nie spodziewano. Tym się tłumaczą tak wielkie straty. Niektórzy mówili, że liczby ofiar są przesadzone, że nie było tak źle, inni znów przebąkiwali o jakiejś zdradzie, nic jednak jasnego nie można było stwierdzić.

G. na razie zaznał trochę spoczynku, ponieważ on i jego oddział chwilowo nie byli potrzebni. A potem nastąpiła pamiętna ofensywa styczniowa i ziemie radomskie zostały wyzwolone.

Tadeusz wrócił do Radomia, zgłosił się do właściwej komórki PPR i zaofiarował swe usługi. Został życzliwie przyjęty i mianowany zastępcą komendanta Milicji Obywatelskiej na miasto Radom. Do współpracy powołał swych kolegów-partyzantów i zaczął urzędować. Po pewnym czasie został wezwany służbowo do Urzędu Bezpieczeństwa. Udał się tam niezwłocznie, ale wyszedł stamtąd już w kajdankach do więzienia.

— Na tym kończę swoją spowiedź — powiedział G. — szczerą i absolutnie prawdziwą. Resztę pan znajdzie w aktach sądowych.

Udałem się do hotelu i cały wieczór porządkowałem i układałem notatki, a wczesnym rankiem wróciłem do Lublina. Miałem szczery zamiar zająć się dokładnym studiowaniem akt i oceną ich na podstawie tego, co usłyszałem od oskarżonego, ale stało się inaczej.

Sprawa miała już uprzednio termin i nawet część świadków została zbadana, lecz w międzyczasie zmarł obrońca oskarżonego i sąd nie rozpoznał kilku wniosków złożonych przez niego jeszcze przed śmiercią. Dotyczyły one dodatkowych dowodów i miały istotne znaczenie. Oprócz tego prokurator zawnioskował również przesłuchanie szeregu nowych świadków, a poza tym żądał, z powodu upływu przyjętych terminów, przeprowadzenia całej sprawy na nowo. Do tego dołączyły się jeszcze moje podania. Wobec tego stało się jasne, że wyznaczona za dwa tygodnie rozprawa w Radomiu nie odbędzie się. Zakomunikowano mi to półoficjalnie w kancelarii sądu.

Było mi to bardzo na rękę. Przede wszystkim zyskiwałem dużo cennego czasu dla dokładnego przestudiowania i przemyślenia tej zawiłej sprawy. Przypuszczałem, że zajdzie potrzeba szukania i zbierania potrzebnych dokumentów oraz dodatkowych kontaktów z oskarżonym. Teraz już wiedziałem, że zdążę to zrobić.

Była jeszcze jedna poważna przeszkoda, którą chciałem ominąć. Referentem tej zagadkowej i trudnej sprawy był sędzia dość ograniczony, natomiast słynny z wydawania bezmyślnie surowych wyroków. Przed wojną nieludzko karał komunistów, teraz myślał widocznie, że surowymi wyrokami komunistom z kolei się przysłuży.

Odraczając sprawę unikałem na razie poważnego niebezpieczeństwa, że sędzia istoty sprawy nie zrozumie i źle ją rozstrzygnie. Przy wyznaczeniu nowego terminu może być również wyznaczony inny referent. Zresztą żywo w pamięci miałem nauki mego patrona, znakomitego adwokata, który mawiał: do śmierci i do kryminału śpieszyć się nie należy.

Z lekkim więc sercem udałem się w oznaczonym terminie do Radomia. Tam nie wiedziano jeszcze o niczym i oczekiwano wielkich sensacji. Miasto znowu przeżywało swój gorący dzień. A przeciwnicy i zwolennicy oskarżonego już jawnie skakali sobie do oczu. Do władz bezpieczeństwa płynęły anonimowe ostrzeżenia, że pewna grupa ludzi chce odbić więźnia, gdy będzie przewożony do sądu. Były również gadki, że są i tacy, którzy chcą dokonać samosądu, bo takiego zbrodniarza powinno się ukarać natychmiast.

W tych warunkach sąd postanowił wpuszczać publiczność na salę tylko za biletami wejścia, które wydawał sekretariat i których liczba została znacznie ograniczona. Poza tym, celem zapewnienia bezpieczeństwa i spokoju rozprawie, zarządzono nadzwyczajne środki ostrożności.

Gdy więc o godzinie ósmej rano szedłem do sądu, zauważyłem na skrzyżowaniach ulic tworzące się grupy ludzi, a na każdym rogu wzmocnione posterunki MO. Milicjanci nie przepuszczali nikogo w pobliże sądu bez wylegitymowania i sprawdzenia karty wstępu. I ja również nie uniknąłem tej procedury, a nie posiadając wejściówki długo musiałem się tłumaczyć, że jestem obrońcą oskarżonego.

W gmachu sądu było natomiast pusto. Nieliczna publiczność, zebrana w niewielkiej hali rozpraw, oczekująca nie byle jakich wzruszeń, doznała przykrego rozczarowania, skoro na zgodny wniosek obrony i prokuratury sąd sprawę odroczył na inny, jeszcze nie wyznaczony termin. Ludzie się rozeszli, posterunki zdjęto. Spokojny i optymistycznie nastrojony wróciłem do Lublina.

Chciałem się z miejsca pogrążyć się w studiowaniu akt, lecz nie zawsze zamiar pokrywa się z możliwością realizacji. Z miejsca pochłonęły mnie sprawy inne, nie mniej ważne, choć na pewno dużo mniej ciekawe. W tych gorących czasach termin gonił termin i w mojej poczekalni wielu ludzi oczekiwało z niecierpliwością na swoją kolej. Rzucić wszystkiego dla jednego, choćby tak pasjonującego procesu, jak sprawa G. — doprawdy nie mogłem. Liczyłem na szczęśliwy zbieg zdarzeń, że coś mi pomoże z zewnątrz. I nie omyliłem się.

Pewnego dnia po otrzymaniu rannej poczty i pobieżnym rzucie oka na ostatni „Dziennik Ustaw" dowiedziałem się, że sądy specjalne zostały zniesione, a sprawy podlegające ich kompetencji przekazane mają być sądom okręgowym według właściwości. Stawiało to sprawę G. w zupełnie nowym i bardzo korzystnym położeniu. Przede wszystkim wyeliminowany został ten sędzia, który straszył nas dotąd jak upiór. Ponadto procedura w sądzie okręgowym była bardziej sprzyjająca dla oskarżonego: dawała mu znacznie większe możliwości obrony i swobodę w przedstawianiu dowodów. Od wyroku, skoro by zapadł niepomyślny, była możność odwołania się jeszcze do Sądu Najwyższego. Wprawdzie była to instancja wyłącznie kasacyjna, sąd nad wyrokiem — nie oskarżonym, ale zawsze można było liczyć na poprawienie istotnych uchybień i zwrócenie sprawy do ponownego rozpoznania. No i, co bardzo ważne, zyskiwaliśmy jeszcze na czasie.

Skutki tego wydarzenia nastąpiły dość szybko — sprawę G. uznano za wyjątkowo pilną. Najlepszy dowód, że w nowej rejestracji tych spraw, które zostały przekazane przez sąd specjalny, a było ich przecież niemało, otrzymała kolejny numer pierwszy (II Kl/46). Wyznaczony został jednocześnie sędzia referent, a właściwie jedyny sędzia, gdyż dwaj pozostali byli ławnikami, czynnikiem społecznym, nie najlepiej orientującym się w trudnych sprawach, a szczególnie tak zawiłych jak ta. Co do nich zachodziła tylko jedna obawa, aby nie ulegli presji ulicy, ale ponieważ oskarżony miał i wrogów, i entuzjastów, nawet w tym wypadku szanse były równe. Referat sprawy prezes sądu powierzył sędziemu N. Wybór ten był ze wszech miar szczęśliwy i niewątpliwie zadowalał nie tylko mnie, ale również prokuratora. Sędzia N. był człowiekiem sumiennym, obdarzonym błyskotliwą inteligencją, dociekliwym i odważnym. Czegóż więcej można wymagać. Wiedzieliśmy, że ten na pewno dołoży wszelkich starań i nie cofnie się przed żadnymi trudnościami, aby sprawę zbadać dogłębnie i wyświetlić całkowicie. Jedno tylko można było mieć zastrzeżenie: sędzia N. wrócił niedawno z Zachodu, całą okupację przeżył poza krajem, nie znał więc z autopsji tego wszystkiego, co my przeżywaliśmy na co dzień. Ale było to jednocześnie momentem pozytywnym. Miał bowiem spojrzenie absolutnie obiektywne, z pewnej, dość odległej, perspektywy i nie przyjmował oczywiście określonych sugestii i gotowych schematów, ani też powodował się głosem opinii publicznej bez rzetelnego i bezstronnego zbadania jej źródeł. Przyszła rozprawa wykazała, że moje poglądy były całkowicie słuszne. Sędzia N. walnie dopomógł do wyświetlenia wielu zagadek i obalenia już narosłych legend i mitów.

Należało więc opracować dokładny plan działania, oparty na wnikliwym badaniu akt sprawy i na analizie wyjaśnień, ostatnio udzielonych przez oskarżonego, oraz zaproponowanych przez niego dowodów. Akta sprawy były w Radomiu. Zorganizowałem sobie kilka dni wolnych od innych zajęć i pojechałem. Po niedługim czasie miałem już wszystko gotowe.

PSEUDO: »SERCE«

Konrad Bielski

Istnieje zasada prawna, ogólnie znana, oparta na dawnym zwyczaju i nawet przepisach Konstytucji, że nie oskarżony ma uzasadniać swą niewinność, lecz właśnie oskarżonemu należy winę udowodnić. Zwie się to domniemaniem niewinności. Jednak w życiu rzadko się zdarza, by podsądny czekał biernie na rozwój wypadków i przystąpił dopiero wtedy do kontrofensywy, gdy prokurator wszystkie swe atuty wyłożył na stół. Często wtedy już jest za późno na skuteczne działanie, a spóźnienie się w walce, to już prawie klęska.

O tym wszystkim wiedziałem dobrze, gotując się do rozprawy, wiedziałem też, że w tej sprawie właśnie należało udowodnić swoją rację, a nie zadowolić się z braku dostatecznych dowodów winy wyrokiem uniewinniającym, lub opartym na znanej zasadzie, że wszelkie wątpliwości tłumaczy się zawsze na korzyść oskarżonego. Toteż moje przygotowanie musiało być staranne i przewidywać wszelkie możliwości.

Następnie muszę zaznaczyć, że akta sprawy G. były dość bogate w materiał faktyczny. Długotrwałe śledztwo pozostawiło przecież odpowiednie ślady. Z uwagi na wiadome tendencje, wyniki dochodzenia, choć bardzo obfite, stanowiły materiał mocno kontrowersyjny i wątpliwy. Dawało to jednak okazję do celnych ataków. Nadmieniam, że odbyła się już jedna rozprawa sądowa i to przy udziale obrońcy. Dokładny protokół dostarczył wtedy szeregu cennych danych. Korzystałem z tego wszystkiego w mojej pracy i taki sobie zaproponowałem plan działania.

Przede wszystkim należało się rozprawić z zarzutami mniejszego kalibru, a po pozbyciu się tego balastu przejść do tych najważniejszych i poważnie się zastanowić, jak do nich podejść.

Najbłahszy ze wszystkich był zarzut pierwszy aktu oskarżenia: podpisanie Volkslisty, przybranie nazwiska Veiss i praca w Arbeitsamcie, a w związku z nią działanie na szkodę Polaków. Odeprzeć to wszystko było stosunkowo nie trudno, tym bardziej, że świadkowie dotychczas zbadani w toku śledztwa i na poprzedniej rozprawie zeznawali mętnie i niepewnie. Każdy z nich mówił, że to, co wie, wie tylko ze słyszenia, ale od kogo i kiedy, nie umiał wyjaśnić. Poza tym nikt nie potrafił imiennie wskazać choćby jednej osoby, która w czasie krótkiego urzędowania G. została wywieziona na roboty i jaka w tym była rola oskarżonego. Niemniej jednak postanowiłem materiał ten uzupełnić. Zawnioskowałem dołączenie dowodów, z których wynikało, że zarówno G. jak i jego rodzina przez cały czas okupacji pobierali kartki żywnościowe przeznaczone tylko dla Polaków, oraz powołanie świadków na okoliczność, że nie korzystał z żadnych przywilejów volksdojcza. Mieli oni również ustalić czasokres i rodzaj jego pracy w Arbeitsamcie. Byłem przekonany, że te argumenty będą wystarczające.

Wobec tego przystąpiłem do rozważania drugiego zarzutu. Dotyczył on oskarżenia i wydania w ręce gestapo szeregu młodych ludzi, w tym kilku swoich kolegów. Było to oskarżenie kluczowe, gdyż od tego pamiętnego czerwcowego dnia roku 1940 zaczęły się wszystkie nieszczęścia Tadeusza i stąd uformowała się opinia szpicla i zdrajcy, która go już nie mogła potem przez długi czas opuścić. Całe miasto pamiętało, jak w czarnej limuzynie wraz z gestapowcami odwoził do więzienia aresztowanych młodych ludzi.

Trzeba było więc koniecznie i niezbicie udowodnić sądowi, że tu nastąpił tragiczny zbieg okoliczności. Wyjaśnienie całkowite tego momentu powinno inaczej naświetlić przebieg całego procesu. I chociaż prokuratura przedstawiała nikłe dowody tego przestępstwa, raczej do kategorii poszlak, a nawet domysłów się zaliczające — nie wolno było ich lekceważyć. Tym bardziej, że kilka osób z podówczas zatrzymanych przeżyło i po wielu latach wróciło do Radomia, mieli oni być zbadani w charakterze świadków dopiero na rozprawie głównej i nie wiadomo było, co powiedzą. Wprawdzie stąd i zowąd dochodziły pogłoski, że z tej strony nie grozi specjalne niebezpieczeństwo, ale nie powinno to usypiać naszej czujności.

Na szczęście ten młody człowiek, który właśnie krytycznego czerwcowego dnia wskazał Niemcom na G., jako władającego językiem niemieckim i wrobił go w ten sposób na tłumacza, co w konsekwencji spowodowało tak poważne następstwa — odnalazł się i wyraził gotowość zeznać przed sądem całą prawdę. To był bardzo poważny atut, na razie przez nas nie ujawniony, którym miałem zagrać w odpowiednim czasie. W związku z tym nabierały specjalnego znaczenia wizyty matki oskarżonego już następnego dnia po aresztowaniu u rodziców zatrzymanej młodzieży. Rozważywszy to wszystko doszedłem do przekonania, że i w tym punkcie jestem należycie przygotowany.

Rozmyślnie przechodzę teraz do zarzutów dodatkowego aktu oskarżenia, oskarżenie najważniejsze zostawiając na koniec.

Zarzut dokonania zabójstwa niejakiego Jana S., choć brzmiał groźnie, lecz w świetle dostarczonych przez prokuratora dowodów wyglądał raczej na wielkie nieporozumienie. Nie wiadomo właściwie było, kim był ten Jan S., którego zabito podczas jakiejś niemieckiej obławy, również nikt nie wiedział, kiedy to się stało i kto był właśnie tym bezpośrednim sprawcą zbrodni. Dokładne wertowanie akt, stronica po stronicy, też nie dało na to wyraźnej odpowiedzi. Ot, po prostu, ktoś słyszał, że podczas akcji niemieckiej jakiś cywil zastrzelił Jana S.; ktoś inny powiedział, że mógł to być G., gdyż o nim ostatnio źle mówią, a już trzeci podał kółku znajomych, że słyszał z ust wiadomych, iż G. zabił człowieka. I tak poszło po mieście. Niczego nowego na rozprawie nie należało się spodziewać. W ten sposób i ten punkt odfajkowałem.

Drugi zarzut dodatkowego aktu oskarżenia zdawał się na pierwszy rzut oka potworny, lecz po dokładnej analizie dochodziło się do wniosku, że jest wprost absurdalny. A wyglądało to w ten sposób.

Niejaka Helena M. jeszcze w czasie trwania śledztwa zgłosiła się do władz bezpieczeństwa z prośbą, by ją przesłuchano, gdyż ma zamiar złożyć rewelacyjne zeznania. I rzeczywiście badana zeznała, że w swoim czasie jej znajomy K. pokazał jej na ulicy młodego mężczyznę, ubranego w mundur gestapowca i powiedział, że to jest właśnie Tadeusz G. Kilka razy jeszcze spotkała go na ulicy, zawsze w mundurze. W roku 1943 została aresztowana. Przyszli po nią mundurowi esesmani w liczbie trzech, wśród nich był Tadeusz G. Po pewnym czasie, już w lokalu gestapo, tenże sam G. wraz z innymi przeprowadzał jej badanie i chciał wymusić od niej odpowiednie zeznania. By to osiągnąć, bił ją po całym ciele, kopał podkutymi butami i w okrutny sposób znęcał się nad nią.

Na pierwszej rozprawie sądowej Helena M. potwierdziła te zeznania i oznajmiła, że się nie myli, gdyż w osobie oskarżonego poznaje tego osobnika, który ją aresztował, a potem bił i męczył.

Najzagorzalsi wrogowie Tadeusza, którzy by go chętnie widzieli na szubienicy, nigdy nie twierdzili, by chodził on po mieście w mundurze i przebywał w lokalu gestapo. Na duże miasto Radom nie znalazł się ani jeden człowiek, który by potwierdził te okoliczności. Zresztą nawet sam prokurator nie bardzo musiał wierzyć tym zeznaniom, gdyż nie postawił oskarżonemu zarzutu służby w gestapo.

Skąd więc się wzięła ta kobieta, dlaczego tak usilnie dążyła do zguby oskarżonego i dlaczego tak bezczelnie kłamała? A że kłamała, przekonałem się niezbicie w trakcie dokładnego studiowania akt. Początkowo nic nie zauważyłem, a potem uderzyły mnie daty. Helena M. — według jej zeznań — została aresztowana, a później przesłuchiwana w drugiej połowie 1943 roku. Akurat w tym samym czasie G. siedział w więzieniu z wyroku Sondergerichtu. Miał więc tzw. królewskie alibi. Nie mógł jednocześnie odsiadywać kary w więzieniu i brać udziału w aresztowaniu i przesłuchiwaniu Heleny M. w gestapo. To odkrycie zachowałem tylko dla siebie, by zaskoczyć świadka na rozprawie.

Szukałem jeszcze tylko motywów jej postępowania, ale bezskutecznie. Pytany przeze mnie, mój klient oświadczył, że nigdy przedtem tej kobiety nie widział i nawet nie może się domyślać, co ona od niego chce i dlaczego tak go prześladuje.

Tak więc i ten fragment sprawy był już poza mną. Mogłem z całym skupieniem przystąpić do tego punktu oskarżenia, który był najważniejszy i najtrudniejszy do obalenia, a od którego zależało wszystko.

* * *

Najpierw przypomnę treść tego zarzutu. Odnośny ustęp w konkluzji aktu oskarżenia brzmi: — oskarża się Tadeusza G., że od marca 1944 r. do 15 stycznia 1945 r. na terenie powiatów radomskiego, iłżyckiego i kozienickiego na szkodę partyzantów AL, do których należał, informował władze niemieckie o miejscach ich pobytu, kierował obławami, wydając swych towarzyszy w ręce wroga i powodując ich śmierć.

Przystępując z kolei do analizy samego aktu, należy stwierdzić, że oskarżenie jest bardzo dowolne i zupełnie nie sprecyzowane. Na terenie trzech powiatów, w okresie blisko 10-miesięcznym, wydał partyzantów, kierował obławami. Ale konkretnie w jakich miejscowościach, kiedy, ilu wydał ludzi, no i choć jedno nazwisko? To były braki, które rzucały się w oczy przy pierwszym czytaniu. Mógł je wprawdzie prokurator uzupełnić odpowiednio na rozprawie, a i część historyczna uzasadnienia aktu podjęła pewne wyjaśnienia. A więc chodziło tu o parę nieudanych akcji „Ryszarda", które się skończyły niespodziewaną wpadką i stratą kilku ludzi, aresztowaniem w leśniczówce Madziary, no i choć nieśmiało, ale wyraźnie napomykano o dwuznacznej roli oskarżonego w czasie fatalnej przeprawy przez Wisłę.

Tak brzmiało oskarżenie, ale mnie chodziło przede wszystkim o poznanie dowodów, boć przecież tam należało uderzyć jak najcelniej i postarać się je obalić. Z tymi dowodami sprawa była bardzo skomplikowana. Oczywiście, że prokurator nie mógł zaoferować sądowi dowodów bezpośrednich. Nikt nie widział oskarżonego umawiającego się z Niemcami, ani też kierującego obławą. Nie można też było przedstawić sądowi korespondencji między oskarżonym a Niemcami — bo taka nie istniała. Pozostawały więc do dyspozycji poszlaki, wśród których były i błahe, ale również i takie, które, wsparte dokumentami, mogły stanowić istotny dowód winy.

Na dwóch filarach opierało się oskarżenie: leśniczówka Madziary i dokumenty, znajdujące się w aktach śledztwa. Jeśli te filary okażą się dobrze osadzone i ostoją się w ogniu procesu, można będzie Tadeuszowi G. przypisać wszystkie przestępstwa. Jeśli runą — razem z nimi zawali się całe oskarżenie. To dla mnie nie ulegało wątpliwości. Należało więc się przyjrzeć tym filarom z bliska.

Leśniczówka Madziary, położona na ustroniu wśród gęstwy lasu, gdzie Niemcy nigdy się nie ośmielali zapuścić — punkt kontaktowy i schronisko oskarżonego. Krytycznego dnia wyznacza tam spotkanie dla kilkunastu ludzi swego oddziału; przychodzi tylko dwóch, pozostali nie stawili się z powodu poważnych przeszkód, o czym oskarżony nie wiedział. Zupełnie niespodzianie zjawiają się Niemcy w dużej sile i od razu otaczają leśniczówkę. Potem długa rozmowa po niemiecku oficera, komendanta oddziału, z G. i rezultat — on pozostanie na wolności, jego towarzysze zatrzymani i rozstrzelani.

Jasne — komentowało oskarżenie — że mamy tu jaskrawy przykład podstępu i zdrady. Niemcy wiedzieli, po co idą, i że nie spotka ich żadna przykra niespodzianka. Długa rozmowa po niemiecku — to tłumaczenie się G., dlaczego jest przy nim tylko dwóch partyzantów, oraz wskazówki, co do dalszej marszruty. A już sam fakt pozostawienia oskarżonego na wolności przy zabraniu jego towarzyszy jest zdarzeniem tak niebywałym, że przesądza całą sprawę na jego niekorzyść.

(Ciąg dalszy za dwa tygodnie)

okolice sztuki

Sprawa Waleszyńskiego i innych

MALARZ Eugeniusz Waleszyński żył krótko, zaledwie 52 lata. Można podejrzewać, że jeszcze krócej żyła w środowisku lubelskim pamięć o tej pogmatwanej wewnętrznie indywidualności twórczej. W roku 1960 Muzeum Okręgowe urządziło wystawę pośmiertną prac Waleszyńskiego, wydając równocześnie nieźle opracowany katalog, zaopatrzony w kilka barwnych reprodukcji, co — i owszem — było najwyższym w naszych warunkach uhonorowaniem malarza, ale równocześnie zapowiedzią ciszy, jaka później otoczyła jego postać i dorobek.

Tej ciszy nie zdołała zakłócić dziesiąta rocznica samotnej śmierci Waleszyńskiego, która minęła w marcu tego roku. A przecież urządzenie skromnej choćby wystawy jego malarstwa, zorganizowanie spotkania środowiska plastycznego, wygłoszenie kilku słów przypominających twórczość i biografię Waleszyńskiego — to wszystko leżało na pewno w granicach lubelskich możliwości. Kruchy materialnie dorobek artysty — akwarele, gwasze, tempery i oleje na tandetnym, pakowym papierze — zniósłby jeszcze jedno publiczne wystąpienie. Wiadomo zresztą, że prędzej czy później obrazki te wyblakną doszczętnie, że stracą swoją moc artystyczną, po prostu zamilkną na zawsze. Mogą przetrwać, ale tylko w postaci erzatzu: fotografii, barwnej reprodukcji.

Waleszyński malował dużo i często, o ile mu na to pozwalała ciężka choroba, trapiąca go przez całe dojrzałe życie. Wyobcowany ze środowiska, z wyboru pozostający na emigracji wewnętrznej, w malarstwie odnalazł swój świat przeżyć i doznań autentycznych. Fizycznymi ramami tego świata artysty były ściany jego mieszkania, zatłoczonego walającymi się w nieładzie modelami obrazów: pudełkami zapałek, skrawkami reklam, owocami, pędzlami, tubami farby, codziennymi przedmiotami. Niektóre z nich wyciągał ze śmietników, podnosił z ulic — żył w ubóstwie.

Na wystawach okręgowych prace Waleszyńskiego umieszczano w najbardziej marginesowych miejscach, traktując je jako przysłowiowe „zapchajdziury". Za życia doczekał się tylko jednej ekspozycji indywidualnej — w Warszawie, nie w Lublinie. Pokaz ten, w kawiarni SARP-u, nie wzbudził zresztą większego zainteresowania. Niefortunny zestaw prac, dokonany przez trzech panów ze stolicy bez udziału autora i jedynego znawcy twórczości Waleszyńskiego, Wiktora Ziółkowskiego, nie uwzględniał owych miniaturowych martwych natur, czyli obrazów najlepszych, forując dość banalne pejzaże i kwiatki.

Te martwe natury nie były efektowne, wymagały od widza głębszej wrażliwości na kolor i rytm. Zazwyczaj przedstawiały kilka zaledwie przedmiotów, rozłożonych na rozległych płaszczyznach w rytmicznym porządku. Nie było w tych akwarelach miejsca na przypadek, wizerunki przedmiotów — szklanek, noży, pudełek — szukały swego miejsca na papierze drogą racjonalnego, chciałoby się rzec — gospodarskiego zamysłu autora. Zachowane notatki Waleszyńskiego, dotyczące jego pracy twórczej, poza ogólnymi uwagami o malarstwie francuskim końca ubiegłego i początku naszego wieku, z którego stylistyki i warsztatu niejedno zaczerpnął, zawierają takie dyrektywy: „Nie maluj przypadkowo ustawionej natury, lecz komponuj obraz".

Nie interesowały go szczegóły malowanych przedmiotów, notował je raczej, niż opisywał. Mocnym, wyraźnym konturem wyodrębniał przedstawiane owoce, kasety farb, ołówki, zanurzał w jednolitych pastelowych tonacjach zieleni, błękitów, żółci, poszarzałych fioletów. Porządkował i eksponował świat rzeczy mu bliskich, codziennych, z którymi, można przypuszczać, czuł się najlepiej, najbezpieczniej.

Sam, jako człowiek, pełen sprzeczności, broniący się przed kolejnym atakiem choroby malarską, intymną rozmową ze zbudowanym przez siebie pejzażem kuchennego stołu, akcentowanego choćby granatowymi śliwkami, pozostawił dorobek niejednolity artystycznie, w którym przeważają prace szkicowe, niedokończone, zdawkowe. Ale grupa wspomnianych już martwych natur, głównie akwarelowych, w zupełności usprawiedliwia postulat bliższego zajęcia się twórczością Waleszyńskiego, czyniąc zarazem niesprawiedliwym i żenującym milczenie, jakie niemal od lat dziesięciu kryje postać artysty.

Sprawa Waleszyńskiego jest tylko jednym z wielu przykładów, potwierdzających krótką pamięć żyjących o zmarłych malarzach i grafikach lubelskich lub podstawnie zaanektowanych przez Lublin z racji takich czy innych związków z tym miastem. Nawet Stanisław Zalewski, uczestnik działań polskiej awangardy lat międzywojennych, nie doczekał się dotąd broszurowej choćby monografii. Zapomnieliśmy zupełnie o zmarłym w 1962 roku Władysławie Żurawskim, grafiku kontynuującym linię Skoczylasa.

Kilka lat temu rozpoczęto pracę nad albumem współczesnej plastyki lubelskiej, lecz — jest to ewenement na miarę snu nadrealisty — nie widać go dotąd w księgarniach. Kiedy po wielu korowodach, po przebieraniu w autorach wstępnego artykułu niczym w liczbach toto-lotka, przekazano wreszcie rzecz do druku w Zakładach Doświadczalnych ZPAP w Łodzi, instytucja ta żwawo dostosowała się do ... tradycji i ani myśli zamówienie realizować, choć terminy — pierwszy 30 maja br. — mijają jeden za drugim. Nie pomagają pisemne ponaglenia Wydawnictwa Lubelskiego, które sprawuje pieczę edytorską nad albumem, ani burzliwe wizyty jego przedstawicieli w łódzkich Zakładach. Może więc życzliwy lubelskiej plastyce sam prezes Zarządu Głównego ZPAP, p. W. Buczek, zechce uruchomić swoją wysoką interwencję. Tymczasem ciężko nas doświadczają łódzkie Zakłady Doświadczalne.

IJK

LENIN O REWOLUCJI

Dokończenie ze str. 3

Pojęcie dyktatury proletariatu najlepiej wyraża treść i istotę (nie formę) socjalistycznego państwa okresu przejściowego. Jak każde państwo, jest ono w dalszym ciągu tworem o charakterze klasowym. Podstawowym zadaniem ukonstytuowanego w państwo dotychczasowego proletariatu jest, zdaniem Lenina (przy zachowaniu klasowo rozumianego sojuszu robotniczo-chłopskiego), realizacja zasad pełnej i niezafałszowanej demokracji. Albowiem nawet w najbardziej liberalnych państwach burżuazyjnych demokrację traktuje się jako czczy frazes. Jest to demokracja dla burżuazji — podobnie jak Ateny Peryklesa były demokracją dla właścicieli niewolników. Zmieniają się tylko formy panowania klasowego, lecz we wszystkich formacjach, opartych na zasadzie prywatnej własności, jego istota pozostaje nienaruszona. Natomiast proletariat własne panowanie klasowe wykorzystuje właśnie dla zniesienia klas jako takich.

Jednakże realizacja szczytnych ideałów dokonuje się i tu, jak zawsze, w konkretnym życiu społeczeństwa. Stąd też wstępnym zadaniem dyktatury proletariatu staje się zdławienie, likwidacja burżuazji j a k o k l a s y. To samo dotyczy zresztą także pozostałości innych klas eksploatatorskich.

W czasie realizacji tych ostatnich funkcji, a i później państwo klasy robotniczej ma do spełnienia również ogromną pracę pozytywną. Nabiera ona szczególnego znaczenia zwłaszcza w sytuacji, kiedy rewolucja zwycięża politycznie w kraju względnie zacofanym. Trzeba, bez czego socjalizm nie miałby sensu, zarówno wydatnie rozwinąć siły wytwórcze, jak i dokonać ogromnego i złożonego dzieła w y c h o w a n i a całego społeczeństwa (nie tylko klasy robotniczej) w duchu ideologii i moralności socjalistycznej. Oba te wzajem związane cele stanowiły i stanowią podstawową treść funkcji wewnętrznej wszystkich państw obozu socjalistycznego.

Bowiem leninizm i jego część, moim zdaniem, najistotniejsza — teoria rewolucji socjalistycznej — mają aktualność i w naszych czasach. Potwierdza tę aktualność zarówno istnienie powstałych w wyniku rewolucji leninowskiego typu państw socjalistycznych, jak i, zasadniczo, trwanie i w naszych czasach analizowanego przez Lenina imperialistycznego (monopolistycznego) stadium kapitalizmu. Wierność poglądom Lenina zakłada jednocześnie w nie mniejszej mierze potrzebę pamiętania i o tym, aby do spuścizny leninizmu odnosić się zawsze tak, jak Lenin odnosił się do marksizmu swoich czasów.

Kazimierz Wiliński

ekran i widz

Szukając filmu

PRZECIĘTNY londyńczyk do kina chodzi rzadko. Wielkie kolorowe afisze, reklamujące „najbardziej atrakcyjne filmy świata", dawno przestały już na nim robić wrażenie. Nie pociąga go ani golizna, ani krew płynąca obficie, ani strzały na ekranie, ani szalone gonitwy samochodów. Wszystko to i tak będzie musiał prędzej czy później obejrzeć w domu, na każdym z czterech kanałów telewizora. Tyle, że nie w kolorze i na mniejszym ekranie. Będzie musiał obejrzeć, bo filmy o wysokiej randze artystycznej idą w telewizji niezmiernie rzadko, natomiast dzieła twórców westernów, thrillerów, kryminałów i melodramatów zajmują poczesne miejsce w programie.

Poza tym nasz londyńczyk jest zmęczony. Pracę skończył o szóstej po południu, na siódmą dojechał do domu. Zanim się umył i zjadł dinner, jest ósma. Żeby „pójść" do kina, trzeba by wyciągnąć z garażu samochód i jechać długo ulicami własnej dzielnicy do miejscowego „Odeonu" czy „ABC". A tam w dodatku idą filmy dawno już „wygrane" w eleganckim West Endzie. Można oczywiście jechać do centrum, ale na to trzeba poświęcić co najmniej pół godziny na podróż metrem, a tymczasem wieczorne seanse zaczynają się około ósmej. Poza tym najtańsze miejsce kosztuje tam pół funta, co w połączeniu z ceną biletu za metro składa się na sumę wcale niebagatelną, wystarczającą na całodzienne wyżywienie. Wreszcie, w owych eleganckich, grających nowości kinach zobaczy się tę samą, co w starym „telewizyjnym" filmie historyjkę, tyle że podaną w bardziej nowoczesnej formie. Krąg się zamyka.

Miłośnik dobrego kina może sobie na nie pozwolić właściwie tylko podczas dwóch dni week-endu (jeżeli nie postanowił wyrwać się gdzieś na prowincję, zaczerpnąć świeżego powietrza, wyzwolić się z przytłaczającej atmosfery metropolii). Ale i wówczas obejrzenie dobrego filmu nastręcza sporo kłopotów. W Londynie istnieje wprawdzie kilkaset kin, ale wynalezienie wśród prezentowanych przez nie programów czegoś naprawdę wartościowego zajmuje długie kwadranse uważnego studiowania „What's On", ponad stustronicowego informatora, zawierającego wiadomości o wszystkich tygodniowych „events" (wydarzeniach) stolicy Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii. Dział dotyczący filmu obejmuje ponad dwadzieścia stron formatu A-4, zapełnionych drobnym drukiem. I tutaj także, jak wszędzie, wybijają się na czoło filmy wątpliwej wartości, pokrywające ubóstwo treści kolorem, szerokim ekranem, najnowocześniejszymi sztuczkami techniki filmowej.

Chciałbym też zwrócić uwagę na tzw. „uncensored films" czyli filmy niecenzurowane, wyświetlane w specjalnych „klubach filmowych", takich, jak „Compton cineclub", „Cineclub putney" czy też „Tatler cinema club", specjalizujących się w filmach pornograficznych lub na tyle zatrącających o pornografię, że nawet bardzo pobłażliwa w sprawach seksu brytyjska cenzura filmowa założyła względem nich zdecydowane veto. Ramię cenzury nie sięga jednak poza drzwi specjalnych, „zamkniętych" klubów, grupujących ludzi, którzy zajmują się jakimś specjalnym, wybranym „zagadnieniem". Nie sięga więc też siłą rzeczy i poza drzwi „klubów filmowych", penetrujących tajniki uciech seksualnych. Zgodnie z prawem, żadna osoba, nie będąca członkiem klubu, nie ma do niego wstępu. Jednakże nic nie stoi na przeszkodzie, aby w kasie wraz z biletem otrzymać (za odpowiednio wysoką dopłatą) — kartę członkowską. Potem już bez przeszkód można studiować „sztukę filmową", co zresztą czynią głównie turyści lub starsi panowie o połowicznych już ambicjach. Stały, zdrowy mieszkaniec Londynu do takich kin nie uczęszcza.

Małymi literkami wydrukowano w „What's On" nazwy kin takich, jak np. „Academy One", „Academy Two", „Academy Three", mieszczących się przy wielkiej, ruchliwej Oxford Street. Tutaj można obejrzeć przeglądy szekspirowskich filmów Laurence Oliviera, archiwalne komedie z Buster Keatonem, obrazy tej miary co „Cisza i krzyk". W poszukiwaniu prawdziwej sztuki filmowej londyńczyk szturmuje kasy czterosalkowego kina „Cinecenta" przy Panton Street, a bardzo już obeznany w topografii i specyfice stolicy, wyrusza do niewielkiego, zadymionego „Imperial Cinema" przy Portobello Road, gdzie wtłoczony pomiędzy młodzież artystyczną, hippiesów i miejscową ubogą ludność „kolorową" może, w specjalne „dni klubowe", obejrzeć na przykład całokształt dorobku Pudowkina i Eisensteina. W inne dni „Imperial" wyświetla „przechodzone" kryminały, thrillery i melodramaty z gatunku science-fiction.

Oczywiście jest w Londynie o wiele więcej kin, które starają się zalew szmiry zrównoważyć ambitnym repertuarem. W powodzi ogromnych reklam, kolorowych neonów, całego krzykliwego sztafażu, jakim posługują się wielkie, zasobne kina, obliczone na gust turystów lub najmniej wybrednej publiczności, w zalewie panoszącej się na ekranach amerykańskiej tandety — jakże jednak trudno przeciętnemu kulturalnemu londyńczykowi trafić do owych ambitnych kin, uczestniczyć w naprawdę dobrym seansie filmowym.

M. D.

z bocznej trybuny

Pozornie nie na temat

W OFICYNIE domu przy Krakowskim Przedmieściu 32 w Lublinie mieści się klub o dwuznacznie brzmiącej nazwie „Nora", znany dość szeroko w pewnych sferach w całym kraju. Dwuznaczność polega na tym, że mówiąc „Nora" możemy mieć na myśli zarówno imię żeńskie, jak też i zwykłą dziurę w ziemi. Tutaj chodzi chyba jednak o to drugie znaczenie, lokal pozbawiony jest bowiem światła dziennego, a sztucznym obdarzony przez gospodarzy niezbyt hojnie.

Klub jest własnością Związku Zawodowego Pracowników Książki, Prasy i Radia, bywalcami jego są jednak również — na zasadzie odpowiedniej umowy międzyzwiązkowej — członkowie Zw. Zaw. Prac. Kultury i Sztuki, a także nieco innych osób, które uzyskały karty wstępu. Zarząd klubu i jego główni działacze składają się prawie w całości z pracowników prasy, lecz prasy w tym klubie nie czyta się wiele. I to nie dlatego, że szewc chodzi bez butów, lecz po prostu z powodu niedostatecznego oświetlenia lokalu. Do „Nory" chodzi się natomiast na imprezy kulturalne, na plotki i na wódkę.

Klub od wielu lat w sezonie zimowym przeprowadza imprezy artystyczne, dyskusje i odczyty, otwarte dla całego miasta i mające w Lublinie ugruntowaną opinię. Prócz tego dzieją się tam różnorakie wydarzenia kulturalno-społeczne dla posiadaczy kart wstępu, w większości organizowane ad hoc. Ot, wystarczy, by do Lublina zjechał nie tylko w celach zawodowych, lecz nawet prywatnych, ktoś znany ze świata kultury i nauki, a już wiadomo, działacze klubowi postarają się go zwabić wieczorem na kawę czy kieliszek koniaku. Gdy zaś przyjdzie — to już wsiąkł. Chce czy nie, będzie musiał zaśpiewać, zagrać, coś opowiedzieć o swej pracy, może nawet poprowadzić zaimprowizowaną z miejsca dyskusję. Czasem w takich spotkaniach biorą udział dwa stoliki, czasem cała sala. Dziś nie trzeba już właściwie nikogo specjalnie ciągnąć do „Nory". Klub ma swoją markę. Zarówno redaktorzy Górnicki, Luliński i Dziedzic z Warszawy, jak też pan Dzieduszycki z Wrocławia, szef kabaretu „Dymek z papierosa", jak też adwokat-historyk Markiewicz z Biłgoraja, jak też twórca teatru dziennikarskiego z Kielc, Ryszard Smożewski, jak też inni, wiedzą, że będąc w Lublinie wypada zajść do „Nory".

Zachodzą zresztą nie tylko w celu spotkania się z przedstawicielami lubelskiego środowiska twórczego, ale choćby na kieliszek wódki. W „Norze" istnieje bufet z gorącymi i zimnymi zakąskami oraz alkoholem po cenach III kategorii, co też klubowi przysparza w naszych kręgach zawodowych sławy, albowiem po pierwsze nie w każdym mieście wojewódzkim istnieje podobna placówka, a po drugie, tylko w niektórych można łyknąć kielicha.

Przed kilkoma miesiącami w suterenie, maciupeńkiej ciupce pod klubem, ustawiono stół do ping-ponga. Wywołało to początkowo wiele sprzeciwów ludzi obawiających się, że hałasy dobiegające z tej sali zagłuszą cały klub. Dziś już nikt nie ma takich wątpliwości. Ping-pong stał się w „Norze" bardzo popularny. Dopchać się do stołu bardzo trudno. Od rana do wieczora bębnią na nim aktorzy, muzycy, plastycy, literaci, dziennikarze płci obojga, miejscowi i przyjezdni. Jedni dopiero uczą się trzymać rakietki w ręku, inni, po początkowych nieporadnościach przypomnieli sobie młodzieńcze lata i prezentują zupełnie przyzwoity poziom. Już projektuje się zgłoszenie drużyny do TKKF. Byłoby naiwną rzeczą twierdzić, iż spadł z tego tytułu popyt na alkohol w klubowym bufecie. Wielu osobom spadł natomiast wyraźnie brzuszek.

Piwnica pod „Norą" nie za bardzo nadaje się do gry w ping-ponga. Jest za mała. Stół, który tam się znalazł, stał do niedawna w obszerniejszym pomieszczeniu jednej z lubelskich redakcji, skąd usunięto go. Nie był to jedyny stół wyrugowany w ostatnich latach z lokalu instytucji społeczno-kulturalnej. Przyzwyczailiśmy się tak do biurokracji w sporcie, że jeśli rzecz nie jest wciągnięta w ramy lig i klas, nie może znaleźć sobie miejsca. W Belgradzie zwiedzałem niegdyś podobny klub: w piwnicach był nie tyko ping-pong, lecz także worek bokserski, hantle i koń gimnastyczny. Ileż jest u nas placówek społeczno-kulturalnych, które mogłyby swoim bywalcom zapewnić odrobinę ruchu — i dlaczego tego nie robią ? Mit o chudym literacie, suchotniku, wciąż pałęta się po głowach wielu działaczy.

RW

Kamena str. 10

POSTE RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste Restante ma znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante nie płacimy honorarium.

Empigonologia — górą. Ledwo założyliśmy kącik, już musieliśmy klub zakładać, ledwo klub założyliśmy, a tu już nowe empigoniana napływają! I to od kogo, od Mistrza Samego i Prezesa w jednej osobie. Pierwszy list M. Pigońskiego miał stempel lubelski, ostatni — z Wielunia. Wojażer ten nasz autor — nie lada. A i mistyfikator okrutny. Oto co pisze w odpowiedzi na nasze poprzednie enuncjacje co do jego osoby: „Tylko z tymi moimi białymi rękami i mankietami nie bardzo się zgadza. Owszem, myję ręce dość często, ale one i tak białe nie chcą być. Są na nich odciski od kosy i wideł, bo (może Pan nie uwierzy — to do nas — red.) pracuję nie tylko w swoim zawodzie, ale także jako rolnik." Sława i chwała rolnikowi-pigońskiemu, chwała i sława jego nowemu wcieleniu na poetyckiej niwie:

Słońce jak kwiat jesienny
w owoc dojrzało na przekór
Dłoń C. jak wiatr jest. Wierni
w słowo szatu do lęku

I tylko struna babiego lata
brzdąka ciszej i ciszej
Motylkom tu i nam latać
bądź liście jęki słyszeć

To jesteś gra Szopena
na fortepianie marzeń
Boi się ptak tych przemian
a potem w pianie zamrzeć

Ptak zamrze we mnie śpiewem
bo to już jesteś życia
taka. A mam ze zwierzeń
most tu. Więc się zachwycam

Oczekujemy teraz, że M. Pigoński dyrektorem spółdzielni produkcyjnej zostanie, pracując — oczywiście — nie tylko w swoim zawodzie. Jajko w jajku, a w tym jajku jeszcze jedno jajko. Kłaniamy się pięknie i do zobaczenia.

moje LEKTURY

Poezja chełmska

TRUDNO jest pisać w krótkim felietonie o paru książkach jednocześnie. Na trzech stronach trzeba oddać sprawiedliwość często bardzo różnym autorom, przedstawić odmienne światy artystyczne. Trzeba więc wypowiadać się bez dokładniejszej motywacji, niektóre opinie mogą wydawać się niesprawiedliwe lub bezpodstawne.

Z niepokojem więc piszę te uwagi o nowych tomach poetyckich autorów związanych z Chełmem. Jest to od czasów założenia „Kameny" miasto poetów i mimo stałego odpływu talentów poeci chełmscy zdobywają się na coraz to nowe książki. Zumiewająca jest ich zapobiegliwość, pozwalająca na częste przypominanie o swojej obecności, i to wydawniczo coraz skuteczniejsza.

Seria poetycka, którą ostatnio tak pięknie wydała Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza na zlecenie Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Chełmskiej, prezentuje różne pokolenia pisarskie. Najdłuższą i najbogatszą drogę twórczą ma za sobą Jan Szczawiej, jeden z organizatorów przedwojennej grupy poetyckiej „Kadra", która już wówczas należała do zachowawczego nurtu poetyckiego, rozwijając się z dala od nowych zdobyczy artystycznych. W „Zielonej runi" zebrał Szczawiej wiersze o tematyce związanej z Lubelszczyzną, z jej miastami, ludźmi i krajobrazem. Jest w tych utworach obecna dawna i nowa historia, wyrażona jednak nie lirycznie, raczej w kształcie publicystycznym. Wiersz poświęcony pamięci J. N. Kłosowskiego jest po prostu artykułem wspomnieniowym rozpisanym na wierszowe linijki.

W drugiej części zbioru wiersze Szczawieja stają się bardziej osobiste. Znajdują tu wyraz przeżycia wojenne, pojawia się zaduma nad światem, losem ludzkim, nad upływem czasu. Pesymistycznym wnioskom przeciwstawia poeta miłość jako jedyną ocalałą wartość. Toteż erotyczne wiersze stanowią poważną część zbioru, nadają całości swoje piętno. Gdy pojawia się w erotykach jakakolwiek sytuacyjność, tam utwór jest płytki, banalny, wtedy zwykle miłość wyrażona jest czysto deklaratywnie. Gdzie zaś miłość otrzymuje kształt wysublimowany artystycznie, gdzie zyskuje postać refleksji poetycko-filozoficznej, powstają wiersze tak piękne jak „Wiara", „Ucieczka", „Nad ruinami" i „Święta". One znaczą wiele w twórczości Szczawieja.

W kłopotliwej sytuacji stawia piszącego te słowa Czesław Twardzik, członek chełmskiej grupy poetyckiej „Pryzmaty", założonej przed wojną i odnowionej przed paru laty. Jego tom przypomina raczej „wiersze wybrane" niż nowy zbiór utworów. Nowych wierszy jest w „Zanim ucichnie" zaledwie kilka, pozostałe zaś są przedrukami z antologii „Wiersze poetów chełmskich" i „Almanachu Lubelskiego Klubu Literackiego". Takie przedruki należą do rzeczy normalnych i nikogo nie dziwią. Gorzej, że do ostatniego tomu włączył Twardzik dwie trzecie utworów z opublikowanego przed paru laty w Wydawnictwie Lubelskim zbioru „Kształt ziemi". O „Almanachu LKL" jak i „Kształcie ziemi" pisałem swego czasu w „Kamenie" i nie ma potrzeby powtarzać tamtych opinii, nic bowiem nie zaszło w twórczości Twardzika takiego, co kazałoby je zmodyfikować.

W „Łowieniu świtu" Longin Jan Okoń, podobnie jak Twardzik, dokonuje wyboru z dotychczasowej twórczości, a nie ogranicza się do ujawnienia nowych tekstów. A te przede wszystkim powinny się liczyć, dając świadectwo rozwoju poety. U Okonia linia rozwojowa trudna jest do odczytania, łatwiej już dostrzec jej wewnętrzną strukturę, którą wyznaczają dwa bieguny. Na jednym znajdują się wiersze patriotyczne, wywodzące się najczęściej z tradycji Broniewskiego, na drugim — liryka krajobrazowa. W pierwszych za dużo jest wielkich i patetycznych słów, brzmiących retorycznie i czytankowo, w drugiej — posługuje się autor materiałem wyzyskanym już do granic ostatecznych. Owe „waty chmur", „brokat nieba", „lustra fal", „gwoździe gwiazd", „kolie gwiazd" czy „rydwany historii" itp. rekwizyty są stale obecne. Niebo, gwiazdy, wiatr, drzewa — to najczęstsze składniki obrazowania Okonia. Nie jest to samo w sobie złe, rzecz w tym, że pojawiają się w układach ogranych na wszystkie strony, z najoczywistszymi przymiotnikami. Są to świecidełka dosyć tandetne, a zdobi nimi Okoń ogromną większość swoich wierszy. Zdarzą się oczywiście i ciekawsze spostrzeżenia:

jedynie szczotka rżyska
czyści
niewidoczne kudły jesiennych wiatrów.
(Żniwa)

ale należą one do rzadkości i nie są w stanie zmienić przekonania, że twórczość Okonia weszła w koleiny utarte i wygodne; po łatwej drodze w poezji daleko się nie zajedzie.

Część powyższych uwag można odnieść także do wierszy Kazimierza Eugeniusza Steszuka. Obaj autorzy realizują zbliżony model poetycki, zwłaszcza w lirykach pejzażowych. Tyle że u Steszuka zaznacza się zbyt wyraźny wpływ Czechowicza. W wielu utworach ciągle odnajdujemy echa, pogłosy, zestawienia słów, są jednak miejsca, w których zaczynają się po prostu cytaty czy parafrazy:

stoję w daremnej formie syntez
(muzyka horyzontu)

lub

o miasto klęczące u podnóża gór
gdzie ogrody pachną zielenią
gdzie ulice wyśpiewują kantaty serdeczne
gdzie kamienic spokojny oddech
wśród brunatnych drzew
chwieje milczeniem
(miastu mojej młodości)

Krajobrazowość wierszy Steszuka łączy się z impresyjnością, z poetyką notatnika lirycznego. Wymaga to jednak świeżych spojrzeń a nie stereotypów, odkryć a nie powtórzeń. Dobrą zapowiedzią na przyszłość wydają się takie wiersze jak „Za oknem", „Życiorys", „Kształt liścia" czy zakończenie „Zagubionych rymów":

wierz nie skończony w ziemi zabronuję
może kiedyś wiosną po deszczu zakiełkuje.

Michał Korzan, którego „Tryptyk o matce" jest pierwszą książką, zdaje sobie sprawę ze swej sytuacji debiutanta. Cykl „Pierwsze wzloty" stanowi wyraz tej świadomości, równocześnie zaś stara się usprawiedliwić ich poetycki kształt. Wiersze tego autora są typowe w swej przeciętności — łączy je też z wieloma utworami rówieśników ta sama fałszywa zasada. Korzan nie objawia swej osobowości, ale poddaje się innym. Najpierw przygląda się, jak się „uprawia poezję", a potem stara się postępować podobnie. Oczywiście — młody poeta zwykle jakiś czas przebywa w terminie u mistrzów, ważne jednak — u kogo i czego się uczy. Jeśli jednak Korzan pisze:

Nie rozkwitają miraże
glissand i ukołysań
(Moja gitara)

czy

Rozlewy strun glissandem cichym gaszę
arpeggio lento dłonią twarz przecieram
(My)

to znać tu szkołę mistrza Twardzika. Wyniki — jak widać — nie są zachęcające, zacytowane zdania po prostu nic nie znaczą, a przynajmniej nie znaczą poetycko. Takich wierszy znajduje się w tomie sporo. Drugim patronem Korzana jest L. J. Okoń, któremu autor dedykuje wiersz „Twoja poezja", w którym używał określeń, na jakie zasługuje niewielu poetów. Nie ujmuję nic Twardzikowi i Okoniowi, ale jeśli Korzan chce zrobić lepszy użytek z danych mu możliwości, winien opuścić poetycki zaścianek, porzucić wszelkie „ruczaje", „trony miłości świętej", „chityny cynizmu", „oblamy pól", „glissanda" i tym podobne piękności. „Ciało" z „Lekcji anatomii" wskazuje, że autor „Tryptyku matki" może być poetą nie tylko chełmskim.

Tadeusz Kłak

Jan Szczawiej: Żytnia ruń. Warszawa 1969. LSW.
Czesław Twardzik: Zanim ucichnie. Warszawa 1969. LSW.
Longin Jan Okoń: Łowienie świtu. Warszawa 1969. LSW.
Kazimierz Eugeniusz Steszuk: Schody gwiazd. Warszawa 1969. LSW.
Michał Korzan: Tryptyk o matce. Warszawa 1969. LSW.

Nadesłane książki

Czytelnik

PROZA

Wasilij Grossman, Kilka smutnych dni. Wybór opowiadań oraz notatki z podróży do Armenii radzieckiego pisarza (1903—1964). Proza refleksyjno-liryczna o zacięciu psychologicznym. Tematyka różnorodna. Tłum. M. Okołów-Podhorska.

Tamara Lichotal, Pójdź ze mną. Autorka należy do młodego pokolenia prozaików radzieckich. Temat jej wielowątkowej powieści realistycznej stanowi środowisko szkolne: nauczyciele i uczniowie. Na tle szerokiej panoramy dnia powszedniego pisarka kreśli konflikty ludzkie zogniskowane wokół różnorodnych postaw życiowych. Tłum. H. Józefowicz.

Jaroslav Papoušek, Czarny Piotruś. Słynny film czeskiej „nowej fali" o tym samym tytule został oparty właśnie na tej powieści młodego czeskiego prozaika. Jest to pełen humoru, głęboki portret dojrzewającego chłopca, pokazany na tle burzliwych wypadków 1948 r. Tłum. A. Dębowska i R. Horodyński.

Porażka na punkty?

PRZY kwalifikowaniu na studia punktacją objęto przedmioty kierunkowe i język obcy, przyznawano też dodatkowe punkty: za dobre oceny w szkole średniej, z racji co najmniej 6-miesięcznego stażu pracy przed studiami (w wypadku niedostania się na studia z powodu braku miejsc i zarazem przy ponownym ubieganiu się o przyjęcie na ten sam kierunek), z racji odbywania służby wojskowej (dla tych kandydatów, którzy kończą służbę wojskową jesienią). Punktacją dodatkową objęto również kandydatów pochodzących z rodzin robotniczych i chłopskich.

W wypadku uzyskania przez kandydatów tej samej ilości punktów pierwszeństwo w przyjęciu na wyższą uczelnię miały dzieci pochodzenia robotniczego i chłopskiego, a także dzieci osób szczególnie zasłużonych w walkach o utrwalenie władzy ludowej oraz dzieci nauczycieli, inwalidów wojennych, wojskowych w zielonych garnizonach, podoficerów MO i inteligencji technicznej. Pierwszeństwo mieli również kandydaci wyróżnieni przez szkoły średnie jako szczególnie uzdolnieni w danym kierunku studiów i wyróżniających się postawą moralno-społeczną.

Przytoczone w skrócie założenia zwiększają szansę studiowania młodzieży o pochodzeniu chłopskim i robotniczym, czego nie zamierzam generalnie kwestionować, bo sama zasada jest słuszna, przynajmniej do chwili, gdy na studia przyjdą dzieci inteligenckie, których rodzice pochodzili z rodzin chłopskich i robotniczych. Aktualnie nasuwa się tu jednakże szereg szczegółowych wątpliwości. Przede wszystkim sprzeciw wzbudza fakt zaniżonego punktowania egzaminu z języka obcego. Wystarczy porównać skalę ocen i punktów z języka obcego z analogiczną skalą ocen i punktów z przedmiotów kierunkowych. Za ocenę bardzo dobrą z przedmiotu kierunkowego uzyskuje się 12 punktów, zaś z języka obcego 4 punkty, za dobrą — 7 punktów i odpowiednio 2, oraz za ocenę dostateczną 4 punkty i analogicznie 1 punkt.

Powyższe punktowanie rzutuje na stosunek kandydatów do języka obcego, który z reguły jest traktowany „obcesowo", bowiem nie przynosi dużego dorobku punktowego. Można chyba proponować, aby ujednolicono tę punktację, gdyż nadszedł najwyższy czas, aby absolwent uczelni znał dość gładko przynajmniej jeden język obcy.

Dość wyraźna nieprawidłowość uwidacznia się w traktowaniu kandydatów odbywających służbę wojskową w porównaniu z kandydatami, którzy już starali się na studia, a z powodu braku miejsc nie zostali przyjęci. Zarówno kandydatom kończącym służbę wojskową jesienią, jak i tym, którzy nie zostali przyjęci na obrany kierunek studiów, a ponownie się nań wybierają po okazaniu zaświadczenia o 6-miesięcznym stażu pracy, a więc zarówno jednym jak i drugim przysługują 2 punkty. Tu, po pierwsze, samo ciśnie się pytanie, dlaczego premiuje się tylko kandydatów kończących służbę wojskową jesienią? Dlaczego nie premiować kończących służbę wiosną, latem lub zimą? Po drugie — chyba człowiek, który odbył zasadniczą służbę wojskową (bez względu na to, kiedy ją odbył), o wiele bardziej przysłużył się ojczyźnie niż ten, kto okazuje zaświadczenie o 6-miesięcznym stażu pracy, i to często fikcyjne. Dotychczasowe obserwacje wykazują, że prawie 100 proc. kandydatów, przyjętych na studia po odbyciu służby wojskowej, kończy je w terminie, będąc wzorem pracowitości i zdyscyplinowania, czego nie można powiedzieć o wszystkich spośród pozostałych kandydatów.

Ostatnia kwestia to sprawa punktów za pochodzenie społeczne. Kandydatom pochodzącym z rodzin chłopskich i robotniczych dodatkowo przysługuje 5 punktów. Na pewno jest to wielkie i słuszne wyróżnienie, ale nie zawsze prowadzi do rozwiązania problemu, który miało rozwiązać. Wystarczy przytoczyć fakt, że kandydatom, których rodzice są zatrudnieni w charakterze robotników, będąc równocześnie współwłaścicielami spółdzielni produkcyjnych lub prowadząc gospodarstwa, gdzie przychodowość przekracza 67 000 zł rocznie, a więc tym kandydatom nie przyznaje się punktów dodatkowych. Czy ta granica przychodowości może wyznaczać przynależność do grupy społecznej? Przecież dobrze gospodarująca spółdzielnia produkcyjna czy dobrze prowadzone gospodarstwo rolne z pewnością dadzą o wiele większe dochody.

Nie można chyba również obdarzać jednakową ilością punktów dziecka robotnika z dużego ośrodka przemysłowego i dziecka robotnika mieszkającego oraz pracującego na odludziu czy dziecka chłopa z „zapadłej" wsi. Podczas gdy pierwsze ma dostęp do wszystkich dóbr kulturalnych, korzysta z kin, teatrów, księgarni, bibliotek, gdzie z łatwością znajdzie potrzebną mu pomoc naukową, to drugie — mimo najszczerszych chęci — z tych dóbr korzysta w sposób ograniczony i poziom jego będzie inny. W podobnej sytuacji znajdzie się dziecko nauczyciela, pracującego w dalekiej wsi, a przecież zarazem zaliczone zostanie do grupy inteligentów, która punktów nie otrzymuje.

Kwestia pochodzenia jest zresztą otwarta, bowiem przy obecnym mieszaniu się ludności miejskiej z wiejską trudno niejednokrotnie ustalić właściwe pochodzenie społeczne młodzieży. Coraz częściej spotyka się młodzież o pochodzeniu mieszanym: robotniczo-chłopskim, inteligencko-robotniczym, inteligencko-chłopskim. W pierwszym przypadku punkty przyznać jest łatwo, zaś w dwu pozostałych, niestety, bardzo często się ich nie przyznaje.

Stanisław Warski

Od redakcji: Być może niektóre z „punktowych" problemów zostały przez autora wyjaskrawione, niektóre to raczej tylko szczegółowe trudności, nie zaś ogólniejsze kwestie. Wydaje się wszelako, iż sprawa punktacji w przyjmowaniu na wyższe uczelnie istotnie wymaga większego sprecyzowania poszczególnych założeń.

WOLNA TRYBUNA

Krzyżówka nr 9

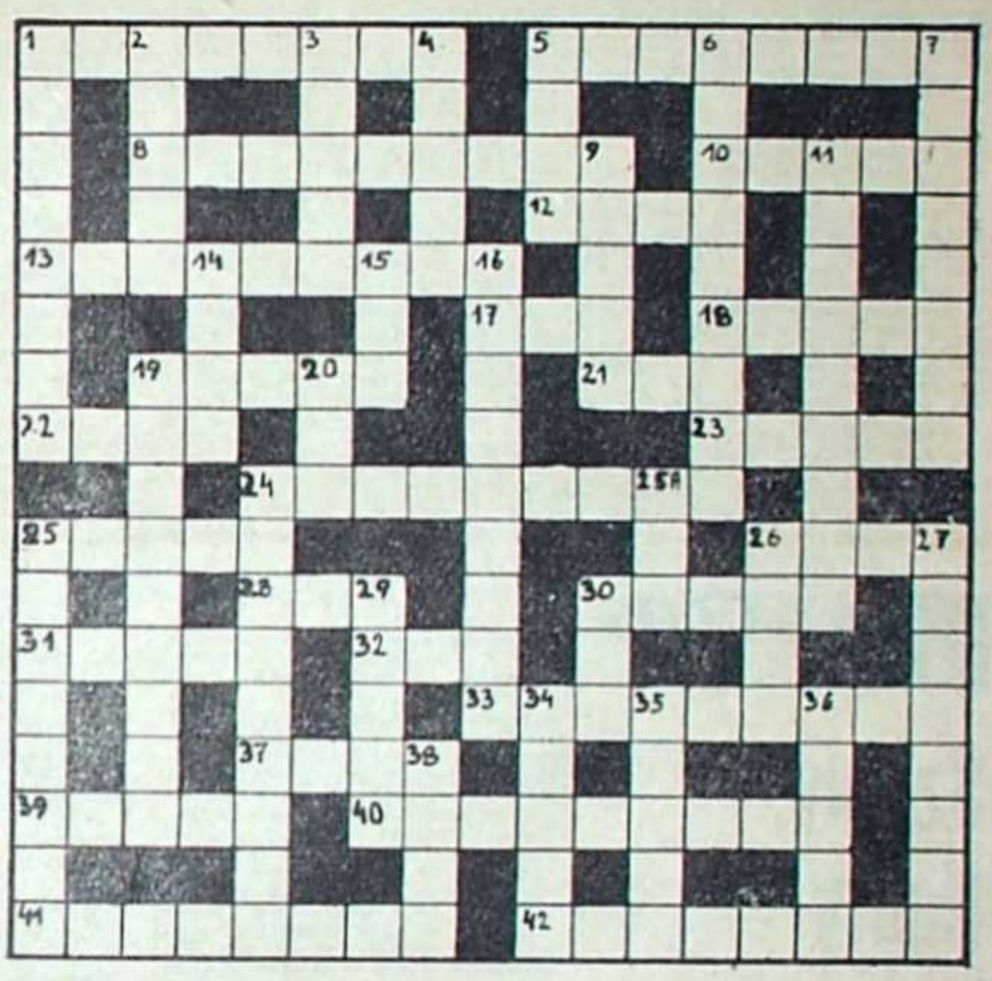

POZIOMO: 1. jeden z wieszczów, 5. mikroorganizmy roślinne i zwierzęce żyjące w wodzie, 8. kwiat doniczkowy w klapie weselnika, 10. andrus, 12. wstrząs, 13. miasto wojewódzkie, 17. rzeka z historii Ludowego Wojska Polskiego, 18. mniejszy niż bakteria, 19. cichy odgłos, 21. ptak śpiewający, 22. barwa skóry, 23. kumoterska grupa, 24. najwyższy szczyt Roztocza Środkowego, 25. taniec kubański, 26. z Zielonego Wzgórza, 28. brytyjskie godło, 30. okrycie zewnętrzne, 31. kompozycja wokalno-polifoniczna oparta na psalmach, 28. łacińskie ja, 33. komplet płyt do nauki języka obcego, 37. stolica europejska, 39. lasso, 40. uchwała, 41. czciciel, wielbiciel, 42. samowystarczalność gospodarcza.

PIONOWO: 1. pomieszczenie do przechowywania cennych przedmiotów, 2. strach, 3. bałagan, 4. stan w USA, 5. Głowacki, 6. wybitna współczesna pisarka polska autorka „Węzłów życia", 7. są w hasłach 1. poziomo i 6 pionowo, 9. ptak z budki na drzewie, 11. kawał drewna, 14. gałąź wierzbowa, 16. miasto w woj. łódzkim nad Pilicą, 19. bardzo trujący muchomor, 20. długi okres czasu, 24. instrument dęty, 25A. przepływa przez Stargard Szczeciński, 25. epopeja staroindyjska z III i II wieku przed naszą erą, 26. willa Szymanowskiego w Zakopanem, 27. grupa szpiegów i dywersantów na usługach obcego państwa, 29. najwyższy dostojnik państwowy w państwach muzułmańskich, 30. mężczyzna, 34. obraz cerkiewny, 35. ziemia, 36. francuski pieniądz, 38. miara długości.

Rozwiązania należy nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (Lublin, skr. poczt. 131). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody w postaci bonów książkowych.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 7

POZIOMO: Grodno, Konopnicka, Małachowski, klapa, CIA, Medaliony, Troja, wokanda, Idaho, gzyms, etap, spór, zjazd, Oskar, lombard, Gniew, Reflektor, ale, dętka, Kochanowski, terminator, koniec.

PIONOWO: Gombrowicz, odłam, ochra, kawki, oficyna, Czartoryska, awaria, kartogram, era, Loara, opis, katalizator, niedowład, Szydłowiec, palce, traf, korekta, Bao, galant, Lehar, konik, Rossi.

Nagrody otrzymują:

1. Ryszard Bataszew, Sobków, pow. Jędrzejów, woj. kieleckie
2. Jan Jelonek, Kraków, ul. Helelów 2
3. Stefania Kotlarczyk, Smogorzów, pow. Przysucha, woj. kieleckie
4. Karol Murcki, Lublin, Szymonowicza 6 m. 7.

Dzielnicowy

Dokończenie ze str. 4

ra", nie uczy się. Drugi — 19 lat, siedzi w więzieniu. Ojciec dawno ich porzucił. Jej nie przysługuje renta, bo nie pracowała. „Trzeba będzie się wystarać o jakiś zasiłek dla niej, a w sprawie młodszego syna poślę pismo do Inspektoratu Oświaty" — mówi dzielnicowy. W innym miejscu — siostra stale maltretuje małego brata. Chłopiec jest „aktualnie" oblany wrzątkiem. Tym razem matka to zrobiła. „Niechcący" — jak powiada.

— A gdzie mąż? — pyta dzielnicowy.

— Mąż se wziął drugą i żyje z drugą.

— Po rozwodzie jesteście?

— Gdzie tam! Ja w ogóle ślubu z nim nie brałam. Na dzieci teraz nie daje.

Dzielnicowy cierpliwie doradza jak załatwić sprawę alimentów, ostrzega przed prawnymi konsekwencjami maltretowania dziecka. I ruszamy dalej. Jeszcze tylko sprawdzić, co się dzieje w rodzinie, gdzie z kolei córka matkę bije, gości na wódkę sprowadza. „Córka jak poszła w piątek, tak do dziś jej nie ma, nie wiem czy pracuje" — powiada matka. Trzeba będzie tu zajrzeć innym razem. Jest już wieczór, godzina 20.30. Koniec obchodu i koniec dnia roboczego.

Nazajutrz rozmawiałem z kierownikiem komisariatu, kapitanem Stanisławem Janikiem. O sprawach dawnych i dzisiejszych. W Milicji jest od 1946 r. Wstąpił jeszcze jako 18-letni chłopak. Wtedy chodzili już w jednolitych, ale jeszcze zielonych mundurach wojskowych. Broni krótkiej było mało. Więcej karabinów i PM-ów. Ze względu na duże niebezpieczeństwo służbę patrolową pełniono minimum w 5 osób — dziś wystarcza jedna. Nieraz trzeba było wykonywać obowiązki przez 24 godziny. Teraz dawna skala przestępstw kryminalnych bardzo zmalała, lecz są nowe — przestępstwa gospodarcze. „Dziś mamy radiowozy, laboratoria, radary, radiostacje — powiada mój rozmówca — ale praca, choć jest trochę łatwiejsza, nie straciła przez to na zawiłości, wymaga wiele refleksu, myślenia, przestępstwo może być podobne, lecz ludzka sprawa, jaka za nim stoi, jest często inna. Tyle, że dawniej to nie była praca, ale walka! Dziś już nie ma takiego narażenia życia. Zwiększyły się też wymagania, jeśli idzie o przyjęcie do Milicji."

Kapitan Janik ma złoty i srebrny Krzyż Zasługi. Nie wyobraża sobie innej pracy niż ta, którą wykonuje. Nikomu nie potrzeba tłumaczyć, że i dziś jest to zajęcie nadzwyczaj uciążliwe i skomplikowane, nie lepsze czy gorsze niż dawniej, tylko po prostu nieco i n n e. Jest to bowiem przede wszystkim jednak praca, a nie walka.

Maciej Podgórski

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje zespół: KONRAD BIELSKI, JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI (kierownik działu publicystyki) MACIEJ PODGÓRSKI i ROMUALD WIŚNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta — Alicja KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch". Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Adres redakcji:
Lublin, ul. Narutowicza 33
Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-33, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35

Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecona i ekspresowa — pod adresem redakcji.

Zam. 3324. 24.IX.69. 9779. F-6

Kamena str. 11

Takie numery nie przejdą

WIEŻA Trynitarska zbudowana w roku 1824, w czasie, gdy budynki Kolegium Jezuickiego w Lublinie należały do trynitarzy. Nie był im potrzebny taki obiekt, wznieśli go ze względów jedynie prestiżowych. Ot, żeby mieć. Najwyższa w mieście — co za satysfakcja. I ten pogląd na sens istnienia wieży pozostał chyba do dziś, choć tryniatarze dawno opuścili nasze miasto. Stoi w ładnym punkcie, góruje swym kogutkiem na szczycie nad otaczającymi ją domami — i nadal jest bezużyteczna. Wnętrze wieży służy za rupiecarnię. A nie trzeba za wiele fantazji, by wyobrazić sobie urządzenie tam kawiarni, klubu, czytelni, czy wreszcie choćby muzeum sztuki sakralnej, eksponującego zabytki z sąsiedniej katedry i innych kościołów lubelskich i pozalubelskich, nieczynnych już cerkwi z całego województwa i świątyń innych wyznań.

Wieża Trynitarska nie jest jedynym w Lublinie zabytkiem architektonicznym, nie wykorzystanym należycie. Za bardziej typowy, klasyczny przykład niemal, można uznać Bramę Krakowską, jeden z najwspanialszych obiektów polskiego średniowiecznego budownictwa fortyfikacyjnego. Wizerunek Bramy jest takim samym symbolem Lublina jak herb miasta, a może jeszcze bardziej znanym. Ilu jednak lublinian zwiedziło wnętrze tego budynku? Zapewne niewielu. Należę do tych, którzy znali pomieszczenia bramowe jeszcze przed ich przebudową. Były to wielkie, ciemne komory, z surowych desek. Konstrukcja opierała się na grubych drewnianych balach. Czas i szkodniki zniszczyły drewno, wnętrze Bramy trzeba było już nie restaurować, lecz wymienić na nowe. Projektanci zaplanowali nie tylko nowe materiały budowlane na to wnętrze, ale i nową architekturę — i nie mam podstaw do kwestionowania ich prawa do takich koncepcji. Lecz już pomysł usytuowania pośrodku klatki schodowej nie był chyba najlepszy. Gdyby klatka znajdowała się tuż przy jednej ze ścian, jak dawniej, na każdym piętrze Bramy znalazłaby się spora sala. Zamiast tego mamy jedynie galeryjki wokół schodów. A już umieszczenie wejścia do Bramy w sąsiednim budynku, niezgodne z historią, a w dodatku niewygodne i wymagające poszukiwań i kluczenia, zanim dotrze się do wnętrza Bramy, budzić musi co najmniej zdumienie. Autor, autor!!! — chciałoby się zakrzyknąć jak w teatrze.

W Bramie Krakowskiej umieszczono filię Muzeum na Zamku. Filia ta powinna być oknem wystawowym ekspozycji głównej, bo znajduje się przy głównym ciągu spacerowym, podczas gdy sam Zamek leży już nieco na uboczu. Tymczasem miłośnik przeszłości, który zapuści się w zakamarki Bramy, nie zobaczy tam tych starych zbroi, strzelb, dzieł sztuki, zabytkowych mebli, porcelany i strojów, którymi wypełniony jest Zamek. W Bramie Krakowskiej pokazuje się głównie plansze i fotografie. Od chwili otwarcia po przebudowie, nie urządzono tam jeszcze ani jednej wystawy, która byłaby tematem rozmów całego miasta i która ściągnęłaby całe miasto pod gabloty.

Muzeum w Bramie czynne jest w dni powszednie od 10 do 15, czyli w tym czasie, gdy większość ludzi pracuje lub uczy się. Nic zatem dziwnego, że cicho tam na ogół, spokojnie, sennie. A przecież mogłoby być otwarte do 20, przynajmniej do 18. A przecież powinien tam znaleźć się i mały bar kawowy, żeby człowiek, który kupił bilet wstępu, mógł przy pół czarnej pokontemplować husarski oręż. (Dla siebie pracownicy Muzeum urządzili w Bramie nawet bal sylwestrowy). A przecież galeria nad przedbramiem byłaby doskonałym miejscem na małe wystawy malarskie. Mogłoby to, mogłoby tamto, lecz przedsięwzięcia takie pochłonęłyby trochę czasu, starań i pracy, więc nikt nie kwapi się do brania sobie na głowę dodatkowego kłopotu. Tymczasem Lublinowi brak jest takich różnych charakterystycznych zakątków i opinia publiczna powinna zmusić władze kulturalne do wykorzystania w tym względzie istniejących możliwości. Tylko jak to zrobić?

Niedawno ogłoszono plan zagospodarowania Starego Miasta w latach 1971—1975. Figuruje w nim i wyburzenie oficyn z końca XIX i początków XX wieku, stare podwórza wróciłyby do swych dawnych wyglądów, byłyby widniejsze, przez co poprawiłyby się warunki mieszkaniowe pozostałych lokatorów. Lokale na parterach mają być przeznaczone na cele handlu i usług („Cepelia", „Desa", miodopitnie, rzemiosło artystyczne), część lokali mieszkalnych przyznana będzie organizacjom i instytucjom społeczno-kulturalnym. Stare Miasto ożyje, nabierze z powrotem rumieńców.

Bardzo to piękne plany tylko że nie ma w nich konkretnych adresów i terminów, można więc obawiać się, że rozejdą się po kościołach. Tak jak rozeszły się podobne plany ogłaszane przed 10, 15, 19 i mniej laty. Myślę bowiem, że ogół mieszkańców naszego miasta nie odczuwa niedostatku placówek kulturalno - oświatowych i gastronomicznych. Nie dlatego, że placówek tych nie brakuje, tylko dlatego, że nie są wykształcone odpowiednie potrzeby. Lublin ma ćwierć miliona mieszkańców, to znacznie więcej niż Kraków w czasach Młodej Polski, środowisko naukowe mamy też większe, inteligencji z wyższym wykształceniem wielokrotnie więcej. A jednak odczuwa się w mieście jakąś senność kulturalną, jakąś ociężałość prowincjonalną, zadowolenie z siebie.

Czy rzeczywiście nie można sprzedawać kawy w Bramie Krakowskiej, podziwiać panoramy miasta z Bramy Trynitarskiej, urządzić klubu młodzieżowego w Bramie Rybnej, udostępnić wreszcie lochów pod Starym Miastem, zapraszać mieszkańców miasta na pikniki i szaszłyk z rożna do odbudowanego zamku w Jakubowicach?

Widocznie nie można — tylko nie wiem dlaczego.

Romuald Wiśniewski

BIG-BEAT

Kochajmy zwierzęta

PANIE Redaktorze! Od 1 października do 15 listopada trwa w tym roku tradycyjny Miesiąc Dobroci dla Zwierząt. Kto kocha te miłe stworzenia, może w tym okresie wpłacać skromne i nieskromne datki na konto PKO I, O/M Warszawa, nr 1-9-121941 („Miesiąc Dobroci dla Zwierząt"). Pan Prezes Zarządu Głównego Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami mgr inż. Tadeusz Matecki i sekretarz Pani Irena Kościałowska nadesłali w związku z tym specjalne pismo do redakcji „Kameny" (dziękuję Panu Redaktorowi za temat). Załączona ulotka głosi, że zwierzęta nas żywią, ubierają, pracują z nami na roli, pomagają nam w zwalczaniu szkodników, ratują nasze plony, oddają nam usługi w ratownictwie, w pracach MO i wojska, w wykrywaniu szkód gazowniczych itd. Słowem sami nie wiemy co posiadamy.

Trochę mi jednak smutno, że „zwierzęta nas żywią, ubierają". Przeważnie robią to w charakterze trupków. Przeważnie, bo wprawdzie krowa żywi nas żyjąc, owca ubiera także żyjąc, ale, aby pożywiła nas świnia czy wół, musimy je najpierw zabić. Nasza dobroć w stosunku do tych istot może się więc wyrażać tylko w tym, aby śmierć była jak najbardziej — rzekłbym — humanitarna, żeby cielęta nie ryczały w wagonach kolejowych głodne i spragnione, żeby, żeby, żeby...

W hitlerowskich obozach koncentracyjnych psy karmiono jak ludzi, a ludzi jak bydło. Psy rzucały się na więźniów, szarpały ich ciała, były nie przyjacielem, ale wrogiem człowieka. Nawet nie można mieć do nich za to pretensji. Tak je wychował hitlerowski NADCZŁOWIEK. Hitlerowski MORDERCA.

Lubię psy. Ale zdaję sobie też sprawę, że wśród nich nie było, nie ma i nigdy nie będzie prawdziwej demokracji. Puszysty pudel wyleguje się na łóżku, na kość nawet nie raczy spojrzeć, a biedny kundel śpi w nieopalanej budzie na wiązce słomy i musi się solidnie naujadać, aby zarobić na jakieś nędzne ochłapy. Często pogardzana przez pudla kość będzie dla niego nie lada rarytasem.

Psia arystokracja zdobywa krajowe i międzynarodowe medale, chodzi w glorii i chwale, obsypywana przysmakami i pieszczotami.

A koło Wrześni żyje kundel z obciętymi uszami. 19 grudnia ub. r. postrzelił tego kundla Józef Ławnicki. Postrzelił i OBCIĄŁ MU USZY. Prokuratura Powiatowa we Wrześni, a następnie Prokuratura Wojewódzka w Poznaniu umorzyła śledztwo z braku dostatecznych dowodów winy. W uzasadnieniu postanowienia Prokuratury Wojewódzkiej czytamy, że Józef Ławnicki mógł być przekonany, że pies już nie żył. Brak świadomości co do tego, że obcinanie uszu dokonuje na żywym zwierzęciu uchyla odpowiedzialność karną za znęcanie się nad zwierzętami. Józef Ławnicki jest jednak myśliwym. Jeśli nie potrafi rozróżnić zwierzęcia żywego od martwego, to trzeba mu jak najszybciej odebrać kartę łowiecką! Niezależnie od takiego czy innego stanowiska panów prokuratorów, nikt kundlowi uszu nie zwróci. Jeśli Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami alarmuje, to tylko dlatego, aby następne kundle nie podzieliły losu owego biednego stworzenia!

W przeciwieństwie do wielu moich kolegów lubię również i koty. Nieprawda, że koty są fałszywe i głupie. Miałem kota, który DOMAGAŁ SIĘ, by go KĄPAĆ. Umiał skoczyć na klamkę i otworzyć sobie drzwi z kuchni do pokoju. Załatwiał się tylko do piaseczku. Chodził za mną jak najwierniejszy pies. Co się z nim stało? Właśnie. Wyszedł z domu i nie wrócił. Albo się zakochał i stracił głowę, albo ktoś mu obciął uszy.

Wśród kotów również jest arystokracja, ale na pewno nie tak hołubiona przez ludzi jak psia. Nie słyszałem, by ktoś kotom stawiał nagrobki. A psom stawiają. Co prawda nie słyszałem też, by kot uratował życie człowiekowi, chociaż i takie wypadki mogły się gdzieś wydarzyć.

Kiedyś hodowałem też króliki. Przestałem. Żal mi je było zabijać, szkoda mi też było się z nimi rozstawać. A poza tym, ile czasu pochłaniało zbieranie trawy i mlecza!

No i, Panie Redaktorze, gdy mi się już zebrało na wspomnienia, muszę się przyznać, że trzymałem również w AKWARIUM (!!!) białe myszki. Parka była rozkoszna, tylko że po pewnym czasie z tej parki zrobiło się osiem sztuk, a później kilkadziesiąt. Miłość była kazirodcza. Dziadek był dziadkiem i ojcem, syn synem i mężem, wnuk wujkiem, ojcem, szwagrem, licho wie, czym. Czy mogłem tolerować w domu taką rozpustę? Całą rodzinkę sprzedałem biorąc po dwa złote od sztuki. Interes nie jest nawet najgorszy, można zrobić majątek. Jest tylko jedno „ale". Myszki są miłe, byłyby stokroć milsze, gdyby nie śmierdziały. Na to i Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami wpływu mieć nie może.

Już chciałem moje rozważania zakończyć, przypomniała mi się jednak kawka. Gdzieś się przybłąkała, podchowaliśmy ją nieco i wypuścili na wolność. Kiedyś ojciec wybrał się na spacer, ale wkrótce musiał wrócić do domu. Kawka siadła mu na ramię, gwałtownie domagając się jedzenia!

Słowo daję, Panie Redaktorze, że nie bujam. I ponieważ felieton jest większy niż zwykle, proszę dodać mi za niego kilka groszy. Wyślę na konto PKO I, O/M Warszawa, nr 1-9-121941. Może i Pan? Może i Pani Redaktor Mirosława Knorr, Pan Redaktor Lesław Gnot, poprą mnie ponownie choć Kopernikiem? Papierowym? Nie przesadzajmy!

Jacek

FELIETON Z REZERWY

Szkoły, flądry i przepisy

PIERWSZA połowa września zrobiła brzydkiego figla handlowcom. Co roku w prasie nawołuje się, aby z urlopów korzystać także we wrześniu, że nad morzem jest w tym czasie bardzo pięknie.

Pojechałem więc z początkiem września do Krynicy Morskiej. Pogoda rzeczywiście była wspaniała, morze cudowne, więc i plaża przepełniona. Większość domów wczasowych i kwater prywatnych zajęta. Ale handlowcy ustalili między sobą, jak tradycyjnie co roku, że sezon w Krynicy Morskiej kończy się 31 sierpnia. Więc w tym dniu zamknięto prawie wszystkie lokale gastronomiczne z wyjątkiem małego i dość obskurnego „Smakosza", którego nazwa była żywym zaprzeczeniem jakości wydawanych tam potraw oraz utrzymującej się przez cały dzień pijacko-krzykliwej atmosfery.

Nie koniec na tym. Zaopatrzenie dwóch miejscowych sklepów zmieniło się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Wystarczy stwierdzić, że np. przez cały pierwszy tydzień września nie dostarczono do nich ani jednej kropli maślanki, jogurtu czy kefiru, a i mleka brakowało już po godzinie. Dla odmiany bardzo regularnie przywożono wódkę z czerwoną kartką w ilości, nie przekraczającej 500 litrów tygodniowo...

Ale nie o zepsutych przez handlowców wczasach chcę pisać. Któregoś dnia w sąsiednim koszu na plaży usiadł starszy pan. Od słowa do słowa — okazało się, że był to emerytowany nauczyciel. Więc oczywiście rozmowa szybko skierowała się na tematy szkolne. Mój sąsiad mówił:

— Wy, dziennikarze, pisaliście już wiele razy o nadmiarze przepisów w różnych dziedzinach życia. Najczęściej nadprodukcję przepisów — w przeciwieństwie do niedostatków produkcji podstawowej — zarzucano budownictwu. A pan myśli, że w oświacie jest lepiej? Jak w innych resortach tak i tutaj ostatnio unieważniono szereg zbędnych przepisów ale — jak doniósł ostatnio Dziennik Urzędowy Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego — obowiązują jeszcze 732 akty normatywne, wydane tylko przez sam resort. Nie licząc ustaw sejmowych, rozporządzeń Rady Ministrów czy poleceń kuratoriów.

— U nas, w Lublinie, kurator wydał niedawno zakaz urządzania w szkołach jakichkolwiek zabaw, imprez, akademii, imienin itp., jeżeli w jakiejkolwiek formie znajdą się tam napoje alkoholowe. Zarządzenie chyba najbardziej słuszne...

— I tak i nie — przerwał mi emeryt. — Jeżeli takie rzeczy odbywały się, to bardzo, bardzo źle. I zarządzenie było konieczne. Ale nieporozumienie zaczęło się w chwili, gdy takie alkoholowe imprezy w ogóle zaczęto w szkołach urządzać. Nawet, jeżeli tam nie wpuszczano młodzieży szkolnej, to przecież ona i tak szybko się o tym dowiadywała, czasem nawet następnego dnia odwoływano kilka lekcji, bo klasy nie były sprzątnięte.

— Ale wracajmy do tych 732 przepisów.

— Właśnie. Który nauczyciel, który kierownik szkoły jest w stanie dobrze się w nich orientować? A jakim cudem mają je zdobyć nauczyciele nowych szkół — przepisywać w bibliotekach z dzienników urzędowych

— Nie podejrzewam nikogo o taką gorliwość.

— Ja też nie — potwierdził mój rozmówca. — Wątpię nawet, czy każde kuratorium posiada komplet 25 roczników Dziennika Urzędowego. A jest pan w grubym błędzie sądząc, że najwięcej przepisów dotyczy oświaty i wychowania to znaczy podstawowych funkcji, jakie ma spełniać szkoła. Wcale nie. Najliczniejszą grupę nadal obowiązujących zarządzeń, okólników, pism okólnych czy instrukcji stanowią przepisy, dotyczące kadr nauczycielskich, ich zatrudnienia oraz spraw socjalnych. Nie przeczę — ważne sprawy. Ale czy na uregulowanie tych spraw trzeba aż 206 przepisów?

Rozmowę przerwał nam niespodziewany skrzek. Wzdłuż plaży przelatywały stada rybitw, zdążających do przystani. Nieomylny znak, że wkrótce nadpłyną z połowów kutry. Dla rybitw zapowiada się wspaniały, darmowy posiłek. Rybacy będą wyrzucali z sieci małe flądry, które w myśl przepisów — tym razem o ochronie ryb — nie nadają się jeszcze do konsumpcji. Wrócą więc — zgodnie z tymi przepisami — do wody. Tyle, że najczęściej martwe, albo pół żywe, wyrzucone tuż przy płytkim brzegu. No i te małe flądry zamiast jeszcze podrosnąć w morzu, zostaną wydane na łup zawsze żarłocznych rybitw, a także znajdą się w siatkach właścicieli hodowli zwierząt futerkowych. Podobno szczególnie smakują lisom. Zwłaszcza, że ich właściciele to nic nie kosztuje...

— A widzi pan — ciągnął mój emeryt — sprawa nie jest taka prosta. Niech pan po przyjeździe do Lublina spróbuje w którejś szkole średniej dowiedzieć się, ilu maturzystów zostało przyjętych na studia wyższe, jak zdali egzaminy, jakie przedmioty wypadły najlepiej, które najgorzej. Wyniki egzaminów to przecież świadectwo nie tylko dla uczniów, ale i dla ich nauczycieli.

— Przecież tyle się mówi o coraz bliższej współpracy szkół średnich i wyższych. Jest nawet wspólne ministerstwo...

— Jest. No i szkoły średnie muszą dostarczać szkołom wyższym nie tylko świadectwa maturalne, ale i różne ankiety, opinie itp. Na tym jednak kończy się. Jakie są wyniki egzaminów na studia wyższe, szkoła średnia oficjalnie nie zostaje powiadomiona. Niektórzy nauczyciele robią wywiady na własną rękę, ale są to wiadomości cząstkowe, nie zawsze prawdziwe.

— No więc co, wydać jeszcze jedno zarządzenie, nakazujące...

— Było już takie, ale je unieważniono jeszcze znacznie wcześniej niż te inne.

— A czy taka sama próżnia nie powstała między szkołami podstawowymi i średnimi? — zapytałem.

— Niestety, tak — potwierdził.

Gdzieś od morza narastał szum silników. Nadpływały kutry.

JOD

SEN O PAWILONIE

W ROKU 2000 ludzkość zacznie „uprawiać" morza, eksploatować bogactwa mineralne Księżyca, w laboratoryjnych kołyskach narodzą się pierwsze formy życia biologicznego, pomoce domowe stracą zajęcia na rzecz uniwersalnych robotów, rakiety balistyczne zdewaluują samolot jako środek komunikacji i transportu... Instytuty futurologiczne przewidują jeszcze wiele interesujących efektów rozwoju cywilizacji, ale jeden ważny fakt umknął ich uwadze i wyobraźni. Aczkolwiek nie mam naukowego przygotowania do snucia prognoz na lata aż tak odległe, to jednak kierując się wnioskami z trzyletniej obserwacji pewnego obiektu śmiem twierdzić, że w roku 2000 plastycy białostoccy staną się gospodarzami pięknego pawilonu wystawowego, gdzie znajdą się także pomieszczenia biurowe ZPAP i BWA.

Będzie to wydarzenie niezwykłe, jako że nikt nigdy na świecie nie poświęcił trzydziestu lat na remont i adaptację jednego niewielkiego budynku. Poza, oczywiście, białostockimi autorami wyczynu — placówką Pracowni Konserwacji Zabytków, która trzeci rok przymierza się do zabytkowego arsenału przy pałacu Branickich, co napawa otuchą, że w roku 200 rzecz zostanie sfinalizowana. Osobiście uważam, że tylko ta właśnie symboliczna data nobilituje pawilon do poziomu poważnej instytucji artystycznej, aczkolwiek nie mogę racjonalnie uzasadnić swojego przekonania. Po prostu wierzę.

Humaniści zakraczą w tym miejscu, że to przecież okrutne pozbawiać inicjatorów pawilonowego pomysłu — plastyków białostockich — owoców ich społecznej czy nawet społecznikowskiej wyobraźni. Bo przecież ci najbardziej dynamiczni i twórczy, w średnim dziś wieku, a nawet poniżej, w roku 2000 zbliżą się do siedemdziesiątej rocznicy swoich urodzin, a wiadomo, że takim to wszystko jedno i tylko żal. Nieporozumienie. Futurolodzy przewidują bowiem przedłużenie średniej trwania życia ludzkiego do lat 100. Wobec takiej perspektywy siedemdziesiątka to całkiem jurny okresy i biadolić nie ma potrzeby...

Przeciwnicy oddania pawilonu w tak odległym terminie, ludzie niecierpliwi — plastycy i kibice, mogą wytoczyć też inne argumenty. Jerzy Lengiewicz, Stefan Rybi, Mikołaj Wołkowycki, Dorota i Jerzy Łabanowscy, Wiesław Jurkowski to przecież — powiedzą — malarze już nieprzeciętni. Uczestniczą w najpoważniejszych wystawach krajowych, w zagranicznych również, zdobywają nagrody i wyróżnienia. Ich prace trafiły do zbiorów państwowych i do mieszkań prywatnych, przez co zyskały obiektywne potwierdzenie swojej wartości. Twórczość tych artystów wyróżnia się na tle polskiej plastyki współczesnej; skupione i harmonijne malarstwo Lengiewicza, symboliczna grafika Jurkowskiego. Świetliste „pejzaże wyobraźni" Wołkowyckiego, zmysłowe i dramatyczne struktury prac Łabanowskiej, czy też mocno osadzone w klimacie białostockiej sztuki ludowej obrazy Rybiego nie posiadają analogii w bieżącej produkcji plastycznej innych ośrodków kraju.

Czy więc — zapytają niecierpliwi — nie czas już najwyższy wyznaczyć tym interesującym twórcom miejsce do prezentacji swoich dokonań i czy nie pora na zgromadzenie ich rozpraszającego się powoli dorobku w galerii sztuki współczesnej, przewidzianej w nieszczęsnym pawilonie? Który przy okazji stałby się szkołą wychowania estetycznego, terenem utrwalenia młodej, lecz już znaczącej tradycji artystycznej regionu oraz źródłem informacji dla turystów i innych gości miasta.

Co prawda to prawda: białostocka plastyka wyrobiła sobie widoczną pozycję w hierarchii krajowego życia plastycznego i pawilon wystawowy połączony ze stałą galerią sztuki na pewno jej się należy. Ale po co ten pośpiech? Dwadzieścia kilka lat oczekiwano, to i drugie tyle można poczekać. Nie pali się. Wątpliwy również wydaje się argument o potrzebie szybkiego uruchomienia tej placówki ze względu na dobro kultury społecznej. Ludzie mają ważniejsze sprawy na głowach, niż oglądanie obrazów, a poza tym telewizja zaspokaja wszystkie potrzeby duchowe. Kto nie wierzy, niech skontaktuje się ze znawcą kultury masowej, wielbicielem katowickich programów rewiowych, moim na poły sparaliżowanym dziadkiem, ex kapitanem lejbgwardii...

Istnieje zresztą salon wystawowy ZPAP przy Rynku Kościuszki oraz „Brama" — w sumie ok. 70 m sześć. powierzchni ekspozycyjnej, okrutnie mało (nawet na kiosk „Ruchu"), to prawda, ale Białystok też nie największe miasto.

Znam upór malkontentów i podejrzewam, że na tym nie zakończą batalii o pawilon. Powołają się zapewne na Ogólnopolskie Plenery Białowieskie — dowód rzekomej prężności organizacyjnej plastyków — które w ubiegłym roku nabrały rangi międzynarodowej. I znów dramatycznie zapytają, gdzie przechowywać i eksponować cenny plon tych imprez — obrazy Dominika, Pauka, R. Ziemskiego, Sienickiego, Filipiaka, żeby ograniczyć się do głośniejszych nazwisk spoza Białegostoku.

Odpowiedź jest prosta: kto nawarzył piwa, niech go sam pije. Nie było plenerów, nie było kłopotów. Nikt plastykom nie kazał wprowadzać fermentu w spokojne życie kulturalne regionu. Ponadto, jako człowiek bywały, pragnę przypomnieć, że z obrazami, jak z winem: trzydziestoletnie leżakowanie w magazynie tylko podnieśnie ich wartość. Że wilgoć, gryzonie itp.? Proszę Państwa, biel ołowiana i człowieka z nóg zwali, a cóż dopiero dorodnego nawet szczura.

— O ironio! — wrzasnąłem budząc się z koszmarnego snu, podczas którego „pisałem" niniejszy felieton.

KAR

Odpowiedzi redakcji

E. S. w Białymstoku. Całkiem sprawnie zorganizował Pan sobie robotę. Posiadając kopie „pisma przewodniego" i własnych tekstów, wstawia Pan w odpowiednie rubryki nazwy odpowiednich redakcji, określa charakter oraz tytuł swojego maszynopisu (np. „opowiadanie pt. „Wikta"), „w przypadku nie skorzystania prosi o zwrot" i wysyła pakiety do najrozmaitszych czasopism jednocześnie. Jeśli o nas chodzi, to informujemy, że przy tym wszystkim warto znać częstotliwość ukazywania się „Kameny" (nie „miesięcznik", lecz dwutygodnik), aktualny adres (nie „Graniczna 1 b", nigdy zresztą tam się nie mieściliśmy, lecz ul. Narutowicza 35) oraz treść tzw. stopki redakcyjnej (to à propos zwracania materiałów, których nie zamówiliśmy). Ujęcie problematyki wiejskiego dziecka w opowiadaniu przypomina jako żywo — mimo bardziej współczesnych realiów — łzawe pomysły Konopnickiej czy złudzenia pozytywistycznych reformatorów. Dziś literatura znacznie więcej oraz inaczej o tych sprawach mówi, o czym wypada wiedzieć człowiekowi z tak świetnie, bo nowocześnie, zorganizowanego biura wysyłki tekstów.

J. S. w Sochach. Uważamy, iż powinieneś raczej zostać „miłośnikiem poezji", a nie jej twórcą. Z tego stwierdzenia łatwo wyprowadzić nasze zdanie w materii nadesłanych utworów. Być wrażliwym czytelnikiem współczesnej, rzetelnej poezji to także sztuka, której, niestety, za często w szkole nie uczą. Trzeba samemu zdobywać tę sprawność, bo i panowie krytycy nie zawsze doceniają potrzebę rozumnej popularyzacji. Jest w każdym razie do gorącego zareklamowania książka spółki autorskiej: T. Kostkiewiczowa, A. Okopień-Sławińska, J. Sławiński — „Czytamy utwory współczesne (analizy)", PZWS, Warszawa 1967.

„Meta" w Łańcucie. Wypisujemy z jednego tylko wiersza: „wicher wyobraźni", „rysunek fantazji wieków", „krople słońca", „głąb istnienia", „milczenie kamienia", „powój wyobraźni"! W Pani poetyckiej wyobraźni (właśnie!) niepokoją nas dwie skłonności: czerpanie z wyeksploatowanych dawno wzorców i brak umiaru w dozowaniu patetycznych deklaracji. Pierwsza sprawa — jasna, o drugiej istnieje niezbyt pocieszający wiersz mistrza Ildefonsa, do którego Panią odsyłamy, świadomie nie podając tytułu, gdyż — naszym zdaniem — szersze rozejrzenie się w tekstach Gałczyńskiego mogłoby Pani uzmysłowić pewne „fałsze" poetyckiego tonu we własnych utworach. Prosimy, oczywiście, nie traktować tej rady jako sugestii do pisania pod autora „Zielonej gęsi".

„Raul" w Wojsławicach. Sprawa dosyć beznadziejna, skoro Pan „pisać to i tak nie przestanie, o nie!", a my drukować nie jesteśmy skłonni, bo efekty Pańskiej poetyckiej roboty wydają się nie nadzwyczajne — za wiele ogranych literacko pomysłów, z czego zresztą nie musi Pan sobie zdawać sprawy, za dużo też sztucznego efekciarstwa, „poetyckich" udziwień. Naszym zdaniem — warto jeszcze trochę postudiować współczesną literaturę, prywatnie kontynuując polonistyczne edukacje, skoro już wstęp ma Pan poza sobą. Może wtedy narodzi się w Panu skłonność do eliminowania literackiego gadulstwa, przebrzmiałych „pięknościów", przesadnych „wysileń"? Serdecznie tego życzymy.

A. W. w Kiełczygłowach. Dziwi nas bardzo, i nie tylko nas, ta skłonność młodych ludzi, których świadoma biografia zaczyna się w latach 60-tych do tematyki wojenno-martyrologicznej w prozie. Ten „gatunek" literacki, każdy zresztą, ale ten szczególnie, wymaga rzetelnej znajomości realiów i prawd ludzkich, czego trudno się dopracować, mając dziś lat dwadzieścia. Radzimy spojrzeć wokół siebie, na dzisiejszą rówieśną rzeczywistość, i stąd czerpać natchnienia dla literackiej pracy. Tak będzie uczciwiej.

J. B. w Łańcucie, S. U. w Lubomierzu — nie skorzystamy.